

Flysport

www.flysport.pl

Cena: 12,90 zł
10-2010 (09)

tajemnice skutecznego muszkarstwa



Kingdom of the Trout

Gotlandia

Biała Głucholaska

Sudecka jesień

Intruz

Co mi się nie podoba na Sanie

Mistrzostwa Europy 2010

Oskar Pankiewicz
Gotlandia 2010

Sudety

Sudecka jesień

Cykl artykułów o rzekach sudeckich



Józef Zając

Gotlandia

Wyprawa

morskie łowienie na muchę
naprawdę dużych ryb



Adam Sujka

Kingdom

Buthan

Kingdom of the Trout,
tam też są pstrągi



Przemek Lisowski

Wędkarstwo muchowe to styl życia. Sposób patrzenia i interpretacji rzeczywistości - jak w życiu liczy się wiedza, doświadczenie, jakość, styl, skuteczność... takie właśnie są muchy od wielu lat rodzące się dla Was na czubku mojego imadła.

*Zapraszam do sklepu
Antek Bogdan*

Antoni Bogdan
ul. Ogrodowa 13/8
38-300 Gorlice
Tel. dom.: (018) 353-53-52
Tel.kom.: 503 020 667

www.ab-fly.pl





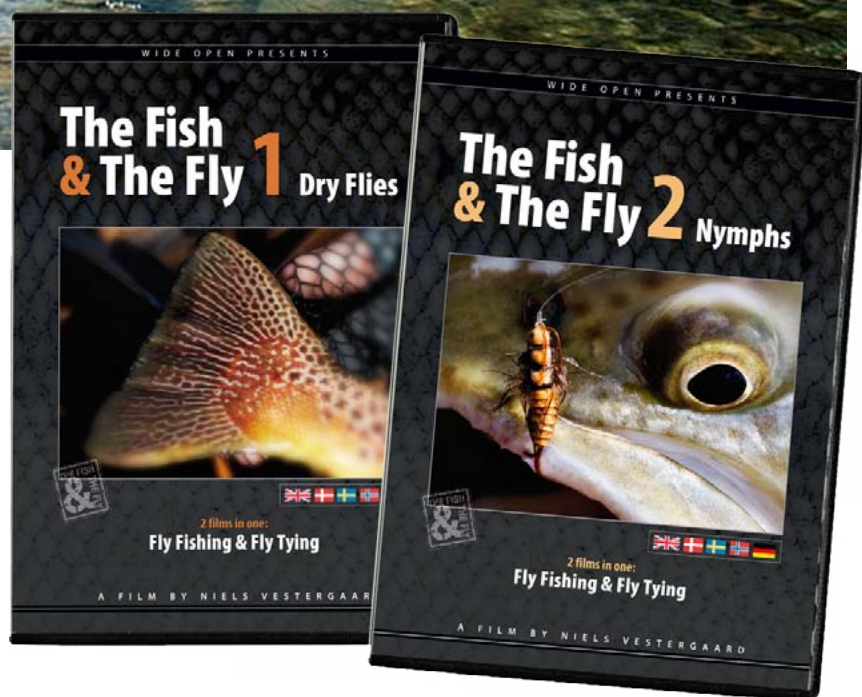
Płyty DVD

The Fish & The FLY 1 - Dry Flies 112 minut

The Fish and the Fly 2 - Nymphs 143 minuty

Obie płyty zawierają materiał dotyczący technik łowienia na muchę i wyjaśniają sposoby wykonywania much. Wysoka jakość wydania. Materiał filmowy nakręcony w trakcie wizyt na łowiskach w Danii, Niemczech, Szwecji, Nowej Zelandii i Grenlandii. Muszkarz łwi ryby na przygotowane wcześniej przez siebie wzory (10) much.

www.wideopen.dk



www.fishing-mart.com.pl

**Veniard, Hareline, Marc Petitjean, Snowbee,
Hanak, Skalka, Stonfo, Dr Slick, Rite Bobbin,
i inne muchowe marki - sprawdź nas!**





Wydawca: MIECZNIK Jerzy Paluch

Adres Redakcji: Flysport 28-330 Wodzisław Laskowa 21 Polska
NIP 634 001 73 33 ISSN 0000-0000

Telefon: (+48) 0 509 592 386;
+48 0 600 541 382
Internet: www.flysport.pl
e-mail: redakcja@flysport.pl

Redaktor Naczelny: Jerzy Paluch
Sekretarz Redakcji: Paweł Zajęc

Współpracownicy: Zdzisław Czeaka, Tomek Kotolon, Przemek Lisowski, Wojciech Marzec, Janusz Panicz, Arkadiusz Wyroślak, Józef Zajęc, Janek Znaniec

Zdjęcie na okładce: Adam Sujka

Kolportaż: www.e-kiosk.pl

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych wcześniej, jednakże w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo ich skracania. Wydawnictwo MIECZNIK nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń i ma prawo odmówić ich publikacji bez uzasadnienia. Wydawnictwo nie ponosi odpowiedzialności za treści publikowane przez autorów oraz za ewentualne błędy i nieścisłości.

Wszelkie materiały są objęte prawem autorskim.

Przedruk materiałów w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek języku bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy jest zabroniony. Wydawca zabrania kopiowania i kolportażu pisma.

Nie stosowanie się do powyższych zakazów skutkuje odpowiedzialnością karną.

W listopadzie 2010:

- Podsumowanie sezonu sportowego
- Dwugłós
- Poprad rzeka zapomniana

Drodzy czytelnicy,

Piękna jesień rekompensuje nam w nadmiarze niedostatki lata. Wreszcie można w spokoju i bez tłoku na wodzie, poszukiwać swojego największego lipienia. Na Sanie jest taki jeden poniżej Postołowa. Mam nadzieję, że w tym sezonie weźmie w końcu moją muszkę.



Sezon sportowy dobiegł końca po wspaniałych zawodach na Łupawie. Jak inaczej nazwać imprezę organizowaną na rzece marzeń. Zachwyca nas to miejsce od lat i co roku jest dobrze. W tym roku udało mi się nawiązać kilka kontaktów z „miejscowymi” muszkarzami. Mentalność „ludzi północy” jest jednak inna. Ich nie dotyczą boleśnie powodzie, a chwilowe gorsze brania rekompensują sobie, dorszami lub w ostateczności śledzikami (w zalewie) :)

Po wizycie nad morzem jestem już przekonany, że czas tam się zatrzymał z korzyścią dla ludzi i zwierząt. Ludzie myślą o rybach jak o czymś naturalnym, jak o części ich wędkarskiego życia, która nie może zniknąć lub ulec zmianie. Oby taki stan trwał u nich jak najdłużej. Bo na południu jest gorąco. Coraz goręcej...

Zapraszam Was do lektury ciekawych tekstów Przemka i Adama. Sądzę, że nadchodzi czas dla zwolenników opisów ciekawych łowisk w Polsce i za jej granicami. Dlatego w najbliższych wydaniach, będą oni mogli zapoznać się z coraz ciekawszymi materiałami opisującymi łowiska muszkarzkie tego typu.

Redaktor Naczelny
Jerzy Paluch

OKIENKO SPRZĘTOWE | The Fish & The Fly **NOWOŚĆ**

Dwa pudełka z płytami DVD poświęconymi łowieniu lipieni i pstrągów. Wysokiej jakości filmy, są podzielone na dwie części. Pierwsza pokazuje sposoby łowienia ryb łososiowatych na rzekach Danii, Szwecji, Niemiec, Grenlandii i Nowej Zelandii. Druga część, pokazuje nam sposoby kręcenia much na jakie łowi muszkarz pokazany na wcześniejszych filmach.

Atrakcyjne lokacje, wysokiej jakości zdjęcia i sekwencje zdjęć podwodnych pokazują w jaki sposób biorą przynętę pstrągi i lipienie.

www.wideopen.dk





06 Świat

Muszkarstwo na świecie

06 Kingdom of the Trout - Przemek Lisowski

14 Gotlandia - Adam Sujka



22 Łowiska

Łowiska w Polsce i za granicą

22 Biała Głuchołaska - Jerzy Paluch

30 Sudecka jesień - Józef Zajac

34 Intruz - Jerzy Paluch

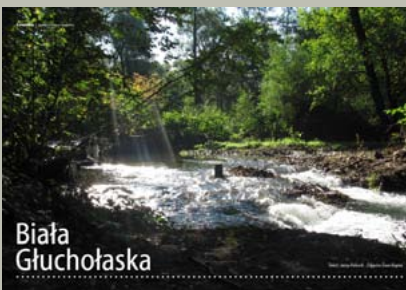
48 Co mi się nie podoba na Sanie



54 Sport

Wydarzenia sportowe, relacje z zawodów

54 Mistrzostwa Europy Bośnia 2010 - Bartek Rapiej



Jest w Azji Południowej kraj niezwykły. Inny niż wszystkie. Gdzie historia przeplata się z teraźniejszością, magia z rzeczywistością, a ziemia łączy się z niebem. Przybywając do tej niezwykłej krainy ma się wrażenie odbycia podróży w czasie i przestrzeni. Niczym Alija z powieści Lewis Carroll, doświadcza się przejścia na drugą stronę lustra. Pisząc te słowa sam nie wiem, co w mojej wyprawie do Bhutanu było snem a co jawą.

Niewielu osobom było dane odwiedzić ten kraj. Wielu z nas zapewne też o nim nawet nie słyszało. Gdy w trzy lata temu obejrzałem film z wyprawy dwóch Australijskich muszkarzy do tego zagubionego pośród bezkresnych Himalajów Królestwa wiedziałem, że zrobię wszystko, aby tam dotrzeć! W moim postanowieniu utwierdzały mnie relacje znajomych, którzy służbowo lub prywatnie odwiedzili Bhutan. Wspaniały, niewiarygodny, niepowtarzalny – to przymiotniki, którymi najczęściej opatrzone były ich opowieści.

Zapewne zadajecie sobie pytanie jak doszło do tego, że na naszej coraz mniejszej planecie, mogło uchować się państwo tak piękne, a jednocześnie ciągle stanowiące zagadkę i tajemnicę dla odwiedzających. Gdy spojrzycie na mapę Azji, zobaczycie drobinę wciśniętą pomiędzy dwa giganty, Chiny na północy i Indie na południu. To jest właśnie Bhutan – Kingdom of the Dragon (Królestwo Smoka). Państwo o powierzchni 46,5 tys km kwadratowych i liczące zaledwie 600 tys. mieszkańców, któ-

re nigdy w swej historii nie zaznało obcego panowania. Otoczeni przez dwie miliardowe cywilizacje i żyjący wśród himalajskich szczytów i dolin Bhutańcy, od stuleci starają się zachować swoją odrębność państwową, kulturową i religijną. Robią to na tyle skutecznie, że nie tylko nie podzielili losu wchłoniętego przez Chiny Tybetu, albo przyłączonego do Indii Sikkimu, ale uniknęli także błędów, które w swoim rozwoju cywilizacyjnym popełniły Indie czy Nepal. Ludzie żyją tam w przeświadczeniu swojego związku z naturą, która uosabia często istoty boskie, nie zaś na jej koszt. Stąd mit o himalajskiej krainie szczęścia i dobrobytu, Shangrilli, najbardziej chyba obecnie pasuje do Bhutanu.

Wizyta w raju wymaga wyrzeczeń i podobnie jest w przypadku Bhutanu. Kraj ten postawił na turystów z ugruntowaną, nazwijmy to, pozycją finansową. Tak więc przed rozpoczęciem starań o wizę wjazdową proponuję odwiedzić pobliski, koniecznie duży bank, w celu dokonania jego rabunku. Możemy też rozważyć sprze-



Tekst i zdjęcia: P...

daż rodzinnych dóbr, lub wybranych członków rodziny... Ale żarty na bok. Bhutan przyjmuje rocznie do 7 tysięcy turystów i każe sobie za takie odwiedziny słono płacić. Jeden dzień pobytu kosztuje bowiem 200 USD. Oczywiście można uzyskać zniżki od agenta turystycznego w przypadku wyjazdów grupowych, lub od rządu, jeżeli jest się np. dziennikarzem. W

King of the

dom Trout

rzemek Lisowski



cenie tej zawarte jest praktycznie wszystko, z wyjątkiem kosztu wizy /20 USD/ tj. noclegi, wyżywienie, przejazdu, indywidualny przewodnik, bilety wejściowe do obiektów historycznych oraz inne opłaty wynikające z zachcianek turysty, np.... licencji wędkarskiej. W granice Królestwa można się dostać praktycznie jedynie drogą powietrzną. Uzyskanie

zezwolenie na wjazd łodem wymaga nieprawdopodobnych zachodów i w przypadku turystów z Europy jest prawie niemożliwe. Ale właśnie w samolocie uzyskujemy przedsmak tego, co czeka nas na miejscu! Maleńkie maszyny linii „Druk Air” /”druk” to w języku dzonka znaczy „smok” i jak na Królestwo Smoka przystało połowa nazw w Bhutanie jest „smocza”/ przelatują najpierw dosłownie kilkanaście kilometrów od gigantycznych masywów Mount Everestu i Kancenzongi by za chwilę dać szaleńczego nurka w chmury okalające dolinę na dnie której leży jedyne międzynarodowe lotnisko w Bhutanie – Paro. Zapewne nie będzie dla Was zaskoczeniem, że inne linie nie chcą tam latać...

W moim przypadku uzyskanie wizy i zniżki w opłatach za pobyt zajęło prawie pół roku. Ale udało się. Zaledwie 36 godzin po zakończeniu opisywanej na łamach „Fly Fishing” mongolskiej wyprawy, z przyklejonym do okna samolotu nosem obserwowałem upstrzone białymi domkami zbożem wzgórz okalające Dolinę Paro.

Podczas lądowania nie mogłem się oprzeć uczuciu, że w wąskiej dolinie zabraknie zaraz miejsca i maszyna łomotnie którymś ze skrzydeł o najbliższe wzniesienie. Nic takiego się jednak nie stało i po kilku chwilach poświęconych na przejście odprawy migracyjnej i odebranie bagaży, witaliśmy się już z naszym przewodnikiem - „Aniołem Stróżem”, który miał nas nie opuścić do końca wyprawy. Piszę w liczbie mnogiej, gdyż w eskapadzie towarzyszyła mi dzielnie Małżonka, czyli Iwonka... Nasz nowy przyjaciel o imieniu Dorgji nie miał wprawdzie skrzydeł, ale ubrany był za to w tradycyjny bhutański strój „Gho”. Coś na podobieństwo długiego szlafroka podwiniętego w fałdę na wysokości pasa. Całość wdzianka sięga do kolan, a jego dopełnienie stanowią podkolanówki i obowiązkowo lakierki. Przytłaczająca większość Bhutańczyków ubiera się w sposób tradycyjny. Dotyczy to także kobiet, które noszą rodzaj barwnego sari, zwanego „Kira”. Tak nakazuje tradycja, ale i przepisy, które regulują także np. architekturę stawianych domów. Stąd Bhutan nijak ma się do urbanistycznego chaosu Indii czy Nepalu. Królują tu śliczne jak z obrazka, białe, najczęściej 2-kondygnacyjne domki o płaskich dachach i przyozdobionych malowidłami ścianach. Dominuje tematyka religijna, ale że Bhutan to kraj stricte buddyjski, rozwiązań niektórych rysunków mocno zadziwia. Często można spotkać np. okazałych rozmiarów latające fallusy, symbol jednego z tutejszych guru zwanych „Holly Madman”. Królestwo Smoka porównywane jest często do Szwajcarii, ale mi nieodparcie na myśl przychodziły krajobrazy austriackiego Tyrolu.

Pierwsze 3 dni wyprawy mieliśmy spędzić w Thimphu, czyli stolicy Bhutanu. Jest to „metropolia”, aż 30-tysięczna, położona w górskiej dolinie na wysokości około 2500 m n.p.m. Sami Bhutańczycy z uśmiechem wypowiadają się o największym mieście swojego kraju. Gdzież tam Thimphu do 14-milionowego New Delhi, 16-milionowej Dhaki, czy nawet pobliskiego milionowego Kath-

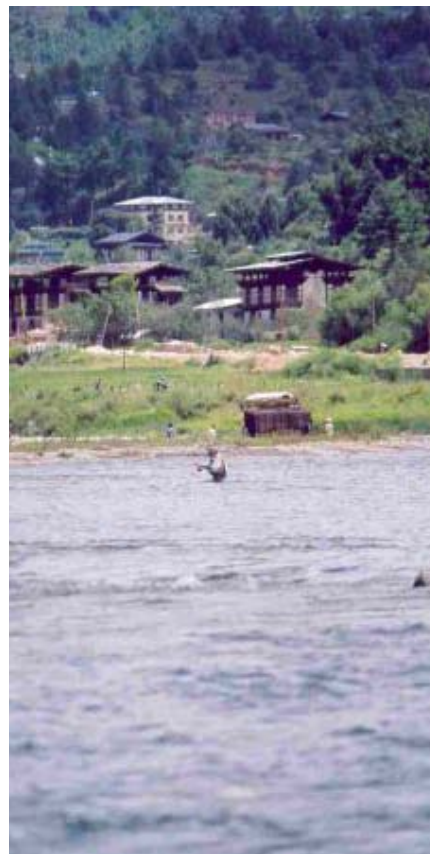
mandu! Ale stolica Bhutanu zadziwia :
 czym innym – ciszą, spokojem i czy- :
 stością. Podczas gdy po konsumpcji :
 rybki pochodzącej z przepływającej :
 przez New Delhi rzeki Jamuna moż- :
 na przybrać wygląd któregoś z postaci :
 z „Gwiezdných Wojen”, w Thimphu :
 Chhu pływają pstrągi! Nie tylko :
 zresztą w tej rzece bytują przedsta- :
 wiciele najszlachetniejszego gatun- :
 ku, pogoń za którym spędza sen z :
 powiek tysiącom muszkarzy rozsia- :
 nych po całym świecie. Większość :
 cieków we wschodnim i centralnym :
 Bhutanie zasiedlona jest przez te :
 ryby. Podobno dawno, dawno temu :
 któryś z miejscowych książąt dowi- :
 dziawszy się, iż muszkarstwo to tak :
 odprężający sport, nakazał zarybie- :
 nie tutejszych wód potokowcami. W :
 świetle moich doświadczeń teoria ta :
 wydaje się być trochę mało prawdo- :
 podobna, ale o tym dalej...

Rano spotykamy się z właściciel- :
 ką biura podróży, które organizuje :
 naszą wycieczkę, Karma. Z miejsca :
 przypominam jej o licencjach. Oczy- :
 wiście po moich wcześniejszych stu

**Jak zapewne większość :
 osobników zarażonych :
 „kropkowaną zarazą” po :
 znalezieniu się w pobliżu :
 dziewiczej niemal wody :
 pstrągowej, ja także nie- :
 mal nie zmrużyłem oka :
 pierwszej nocy po przyby- :
 ciu do Thimphu. A gdy już :
 zasypiałem, śniły mi się :
 ogromne potokowce zasy- :
 sające z powierzchni Thim- :
 phu Chhu, niczym suchą :
 muszkę, łóżko w którym :
 spałem wraz z Iwonką...**

e-mailach w tej sprawie, pamięta :
 o swoim zobowiązaniu. Załatwi ze- :
 zwolenie na wędkowanie, na dwa :
 dni. Tylko na dwa dni! Ale przecież :
 nie dość, że jestem po mongolskim :
 maratonie wędkarskim, to jeszcze :
 mam u boku Istotę, która jedynie :
 toleruje moje ciężkie zbroczenie... Li- :
 cencje na wędkowanie w Bhutanie, :
 jak zresztą wszelkie inne pozwole- :
 nia, np. na trekking, organizuje się :
 za pośrednictwem biur podróży. W :
 praktyce wydaje je jednak Departa- :
 ment Lasów Ministerstwa Rolnictwa :
 Królewskiego Rządu Bhutanu. Dru- :
 czek wygląda dość zwyczajnie, nie :
 ma np. pieczęci lakowych formatu :
 koła od ciągnika. Ale jak to brzmi!!! :
 Przyjemność dziennego wędkowa- :
 nia kosztuje około 15 USD, ale jak :
 już wspomniałem wchodzi w całość :
 opłat wnoszonych przed złożeniem :
 wniosku o wizę. Można też wykupić :
 zezwolenia miesięczne, półroczne :
 i roczne. Okres ochronny pstrąga :
 potokowego jest w Bhutanie zadzi- :
 wiająco zbliżony do polskich ure- :
 gulowań w tym zakresie, gdyż nie :
 można go łowić od października do :
 grudnia, a wymiar ochronny wynosi :
 25 cm. Natomiast inne ograniczenia :
 odnośnie czasu i dozwolonych miejsc :
 połowu mają już wyraźnie „lokalną” :
 nutkę... Np. oprócz świąt religijnych, :
 ryb nie można łowić ósmego, dzie- :
 siątego, piętnastego, dwudziestego :
 piątego i trzydziestego dnia każdego :
 butańskiego miesiąca. Jak wyglą- :
 da bhutański miesiąc, każdy wie... :
 Inne ciekawe uregulowanie dotyczy :
 miejsc gdzie łowić nie wolno. Są to :
 odcinki rzek położone w odległości :
 mniejszej niż kilometr w górę i w :
 dół od Dzonków /ufortyfikowanych :
 historycznych centrów administra- :
 cyjno-religijnych/, klasztorów i świą- :
 tyń. Ich budowniczo wie złośliwie :
 ulokowali większość z tych obiektów :
 właśnie nad rzekami... Wymienione :
 na druku zezwolenia przepisy wspo- :
 minają też coś o zakazie stosowania :
 tak popularnych w Polsce metod jak :
 robal, sieć, dynamit czy prąd. Rozu- :
 miem, że kilka osób w tym miejscu :
 zaprzestanie śledzenia dalszej części :
 mojej opowieści... Tym niedobrym, :
 którzy odważą się przeciwstawić :
 królewskim regulacjom grozi chło- :
 sta na rynku w Thimphu i wypala-

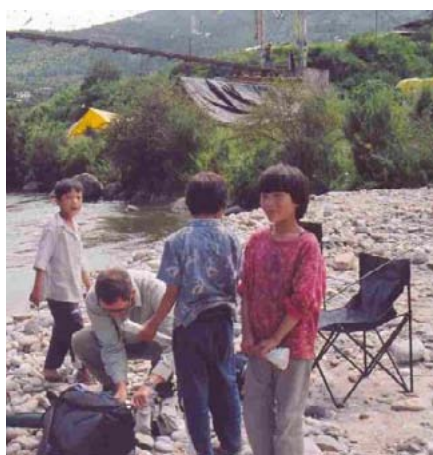
nie rozgrzanym do białości żelazem :
 litery „P” na czole /od angielskiego :
 „poacher”, czyli kłusownik/. Teraz :
 rozczaruję dla odmiany tych, którzy :
 rozpoczęli właśnie zbieranie podpi- :
 sów pod obywatelskim projektem :
 wprowadzenia podobnych regulacji :
 w naszym kraju – to tylko żart... Tak :
 naprawdę za kłusownik w Bhuta- :
 nie ryzykuje grzywną do 150 USD i :
 2-ma miesiącami więzienia. Kary są :
 więc dość niskie, ale też i nie mają w :
 Bhutanie problemu z kłusownikami. :
 Jak wspomniałem jest to kraj bud- :
 dyjski. I to buddyjski przez duże „B”, :
 w przeciwieństwie do np. Mongolii, :
 gdzie lata panowania najlepszego z :
 ustrojów politycznych, mocno zse- :
 kularyzowały miejscowe społeczeń- :
 stwo. Opowieści, że Mongołowie nie :
 łowią ryb, czy nie zabijają żadnego :
 zwierzątka można dziś między baj- :
 ki włożyć. Inaczej jest w Bhutanie. :
 Oczywiście przytłaczająca większość :
 Bhutańczyków zje rybkę czy mięsko, :
 ale żeby zabić jakieś stworzonko, to :
 już nie! Taka jest religia buddyjska, :
 trochę dwulicowa, ale dzięki temu :
 pstrągi w bhutańskich wodach są :
 relatywnie bezpieczne. Jest jesz- :
 cze jeden czynnik, który chroni je



przed presją wędkarską. Nazywa się „Central Monk Body”, czyli Główne Zgromadzenie Mnichów. Mnisi w Bhutanie to potęga, siła z którą każdy, nawet król, musi się liczyć. Są oni bardzo negatywnie nastawieni do polowań, czy wędkowania. Ba, nawet nie godzą się na odstrzał bezpańskich psów, co powoduje że jest ich w tym kraju zapewne więcej niż ludzi! Stąd liczba wydawanych zezwoleń wędkarskich jest mocno ograniczona i generalnie cały proces jest scentralizowany. Stąd też i moje zastrzeżenia co, do prawdziwości historii o księciu co to pstrągi do Bhutanu sprowadził, gdyż chciał je sobie połowić na muszkę.



Moje pierwsze starcie z miejscowymi pstrągami miało miejsce na wspomnianej Thimphu Chhu, około 5 kilometrów w dół od miasta. Rzeka wprawdzie wydawała mi się bardziej



interesująca w innych miejscach, ale zezwolenie wyraźnie określa odcinek, na którym można wędkować. W moim przypadku miał on około 4 km. długości i rozpoczynał się od wiszącego mostu zlokalizowanego nieopodal obozu zbieraczy jabłek. Więc gdy tylko zacząłem wywalać z samochodu Dorgji swoje wędkarskie „bambetle”, z miejsca zostałem otoczony przez wianuszek ciekawych, aczkolwiek dość niewielkich wzrostem, kibiców. Część z nich ulokowała się na moście, więc publikę miałem niekierującą. Niemniej Bhutańczycy są znacznie mniej natarciwi od np. Indusów, a i ja łowiąc w tej części świata zdążyłem się już trochę przyzwyczać do robienia za lokalną

atrakcją. W miejscu gdzie postanowiłem zacząć rzeka dzieliła się na dwie dość głębokie odnogi, łączące się dokładnie pod mostem. O przeraźliwej sile jej uciążu przekonałem się zaraz po tym jak mało nie urwało mi nogi, którą wstawiłem do wody głębokiej do kolan. Thimphu Chhu była zresztą wyraźnie podniesiona i zmacona – efekt przeciągającego się monsunu. Pomimo to przebrnąłem przez jedną z płani na wyspę i zacząłem łowić na streamera. Łowić to za mocno powiedziane, bo wściekły prąd rzeki co chwila wyrzucał mi zestaw na brzeg i to pomimo ciągłego poprawiania linki. Dopiero wyspokojenie za wyspą dało mi szansę na jakoś takie kontrolowanie zestawu. Pierwsze uderzenie w muchę mocno mnie zaskoczyło, tak że praktycznie nie przytrzymałem ryby. Nie było zresztą czego przytrzymać, bo widziałem jak pod powierzchnią przewrócił się mały, może 20-centymetrowy, pstrążek. Po kilku minutach kolejne branie i tym razem czuję rybę, która po kilku sekundach schodzi. Szkoda, bo ten był już większy. Dalej nie dało się iść, więc powtórnie przepравиłem się przez rzekę i zszedłem na pierwszą

banie poniżej mostu. Gigantyczne masy wody wałęsały tu w dość wąskim gardłem i do obłowienia nadaje się jedynie wąski pas wody przy lewym brzegu, na którym się znajdowałem. Kilka rzutów i ładne branie na praktycznie wyprostowanej już linie. Ryba zaczyna harce w warunkach prądów i dopiero po kilku chwilach udaje mi się ją doprowadzić na spokojną wodę a następnie wziąć do ręki. Piękny ponad 40-centymetrowy pstrąg. Ale czy na pewno potokowy? W dostępnych mi źródłach znalazłem informację o występowaniu w Bhutanie pstrągów śnieżnych /"snow trout"/. Moja ryba praktycznie nie posiada czerwonych plam, jest mocno wysrebrzona i krępa. Taki prawdziwy mały himalajski rozbójnik z miniaturową kufą na dolnej szczęce. Podziwiam rybkę przez chwilę i oddaję ją rzece. Jest to powód późniejszych lamentów Dorgji, który jako prawdziwy buddyjski „hardcorowiec” stworzonka by nie skrzywdził, ale skoro zrobił już to ktoś inny, to zjadłby je chętnie. Będzie jednak musiał poczekać do przyjazdu kogoś innego...



Zadowolony z powodu „zaliczenia” pierwszej ryby siadam na kamieniu i zastanawiam się, czy przypadkiem nie był to pierwszy pstrąg złowiony w Bhutanie przez Polaka? Przecież ja tu historię tworzę! Kontynuując tą szczytną misję schodzę na następną banię. I tu dociera do mnie, że nie wszyscy zgadzają się ze mną, jeśli idzie o ocenę ponadczasowego charakteru zachodzących wydarzeń. Iwonka już zgłodniała i zupełnie prozaicznie zaczęła domagać się lunchu. Zgodziłem się przerwać wędkowanie uzyskawszy potwierdzoną notarialnie na piśmie obietnicę, iż po posiłku będę mógł powrócić nad rzekę. W ramach barteru Iwonka uzyskała na piśmie, notarialnie potwierdzoną obietnicę, iż po lunchu będzie mogła udać się na zakupy i wydać tyle pieniędzy ile sama waży. A szczęśliwie waży niewiele...

Osiągnąwszy porozumienie, w towarzystwie Dorgji, udaliśmy się jego prehistorycznym pojazdem marki „Toyota” do leżącego na pobliskim wzniesieniu Królewskiego Ogrodu Botanicznego, gdzie nasz przewodnik przewidział popas. Tu mieliśmy kolejną okazję skosztować lokalnej kuchni, która opiera się na takim małym, niepozornym warzywku – papryczce chilli. Jest ona we wszystkim! Zupa z chilli, grzyby /nasze polskie „kurki”!/ z chilli, ryż z chilli, mięsko z chilli, ... chilli z chilli... I tak aby nie zepsuć smaku jeszcze świeża chilli na zagrychę... Bhutańscy naprawdę mają azbestowe podniebienia! Ja nie, więc krztusiłem się i czekałem przy każdym posiłku, co wywoływało wyraźnie rozbawienie u Dorgji. Ale dla osób, które lubią ostrą kuchnię, bhutańskie jedzenie będzie naprawdę fantastycznym przeżyciem. Z właściwą sobie inteligencją mieszkańcy Królestwa Smoka wzięli, co najlepsze z kuchni indyjskiej, nepalskiej i chińskiej! I dodali oczywiście chilli!

Realizując protokolarne ustalenia maja „Ślubna” pogrąża się w szaleństwie zakupowym, a ja wraz z naszym przewodnikiem wracam nad rzekę. Postanawiam zacząć od miejsca gdzie zakończyłem poranną turę.

Przedieram się przez gęste krzaczory porastające bujnie brzegi Thimphu Chhu i gdy docieram do rzeki staję zauroczony wręcz baśniowym widokiem. Spośród spienionych mas wody, niczym zjawy, pojawiają się prześliczne pstrągi, które po chwili pogrążają się ponownie w mętniejących z godziny na godzinę nurtach. Prawdziwy balet! Doprawdy nie wiem czy te ryby żerują. Obserwuję przez chwilę wodę, próbując zachować spokój. Ale nic nie dostrzegam na powierzchni, więc zapewne pstrągale jedynie się splawiają. To zły znak. Wielokrotnie zdarzało mi się obserwować takie pstrągowe harce na podniesionym Dunajcu oraz innych polskich, a nawet indyjskich rzekach i zazwyczaj schodziłem wówczas na tarczy. Jedna ryba pokazała się 2-krotnie poniżej kamienia, na który się wdrapałem aby ułatwić sobie przegląd sytuacji. Podaję jej więc streamera, „Woly Bagera” w wersji „gumkowiec”. Wtajemniczeni wiedzą, jak to dziwo wygląda. Podaję tą muchę, podaję i podaję. Nie ma mowy, aby zaprezentować ją w jakiś inny sposób, bo jestem to w stanie zrobić jedynie z wierchołka tego diabelskiego kamulca na którym tkwię jak Szymon „Słupnik”, a raczej „Kamiennik”. Wszędzie wokół głęboka kipiela przeskakująca się pomiędzy sterczącymi z dna skałami. Daję spokój tej rybie i zaczynam niepokoić następnego zaważonego pstrąga. Bez rezultatu. W akcie rozpaczki zakładam nawet chrusta-giganta, ale w tych bełach jest on momentalnie zatapiany przez fale. Wiedząc jednak, że w tym miejscu są chyba ryby, bo zaczynam już chwilami podejrzewać, iż może uległem jakiemuś miejscowemu urokowi, czeszę głębinę streamerem poruszając się wzdłuż lewego brzegu. Notuję dwa brania, ale przez te wiry i zmienne prądy nie mogę ich zaciąć. Nic to, mówię sobie, przecież mam jeszcze ponad 3 kilometry rzeki do obłowienia. Jednak po przedarciu się przez następne krzaki okazuje się, że moje oceny były, jak by to ująć, lekko optymistyczne. Na moim brzegu Thipmhu Chhu opiera się w tym miejscu o niemal pionową skałę, która na pierwszy rzut oka wydaje się

nie do przebycia. Pomimo to próbuję. Z wędką w zębach, zawieszony niczym pajęczek nad małą przyjaźnie pohukującym nurtem rzeki, udaje mi się przebrnąć jedynie kilka metrów. To samobójstwo! Muszę wrócić do mostu i przepawić się na drugą stronę. Ale już z tego miejsca widzę, że przeciwny brzeg też oferuje warunki łowienia dalekie od komfortu. Tam dla odmiany przeszkodą nie są skały, ale okalające go szczelnie krzaczory i drzewa. Ich gałęzie kładą się kilkumetrowym, szczelnym parasolem nad głębokim nurtem rzeki.

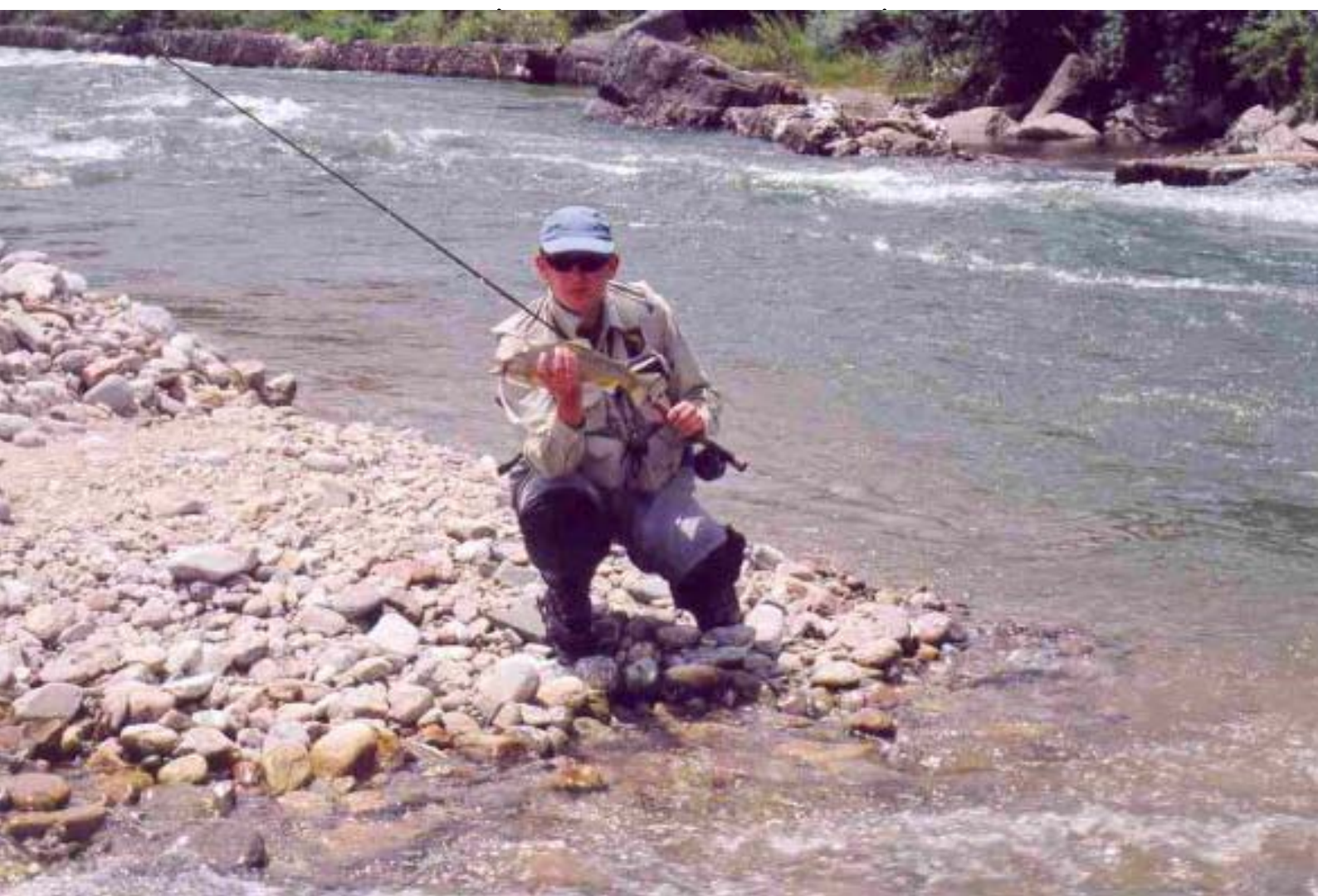


Moje obserwacje potwierdzają się gdy przechodzę przez most. Idę wysoką skarpią wzdłuż brzegu, ale już z góry widać, iż nie ma tu najmniejszych szans na dotarcie do wody! Zaczynam odczuwać idiotyczną tęsknotę do pięknie udeptanych ścieżek wzdłuż polskich rzek i strumieni!

Ale sytuacja w której się znajduję stanowi tylko potwierdzenie, jakiej „dzikiej” presji poddane są tutejsze wody... Thimphu Chhu płynie dość głęboką doliną, opierając się na zakrętach o pionowe urwiska skalne. Wokół niesamowita, wręcz kojąca w oczy zieleń pól ryżowych, opadających tarasami w kierunku rzeki. Wędruję sobie w spodniobutach z muchówką w rękę wśród tego ryżu i zastanawiam się czy już mi się oczka skosiły, skórka zażółciła, a na głowie pojawił się płaski słomiany kapelusik? Pomimo całej niedorzeczności

śródm lasu falujących flag dostrzegam małą buddyjską stupę i pochyloną w modlitwie staruszkę. Ona także mnie zauważyła. Czuję się jak intruz w jej duchowym świecie, ale pomimo to kłaniam się i pytam o drogę nad rzekę. Kobieta, nie przerywając modlitwy na różańcu wskazuje mi niknącą w łanach ryżu ścieżkę. Faktycznie prowadzi ona do wody. Jeszcze kilkaset metrów wzdłuż wysokiej burty i docieram do długiej, płytkiej z mojego brzegu płani. Rzeka rozlewa się tu szeroko, stopniowo nabierając głębokości pod lewym brzegiem.

w sobie to coś! Tylko czy będzie skuteczna na tak odmiennym łowisku? Wchodzę do wody prawie do pasa, co przy dzikim nurcie rzeki jest wyznacznym i zaczynam miotać streamerem ile Bozia dała pary w spręcie. Bo jest gdzie się muchą „rozbujać”. I za chwilę pierwsze skubnięcie. Ale nie zacinam ryby. Schodzę niżej, ale nie mogę powiedzieć abym cesał rzekę nazbyt dokładnie. Zbliżyła się godzina mojego spotkania z Dorgji przy wiszącym moście, a ja przecież oddaliłem się od tego miejsca o dobrych kilka kilometrów. Kolejne bra-



sytuacji /wędkarz z muchówką w łanach ryżu!/ nie czuję irytacji. Jest pięknie. Spowite w chmurach zbocza pobliskich gór, zdają się wyciągać ku niebu ręce trzepoczących na wietrze chorągwi modlitewnych. Jest cicho, można rzec podniosło. Złość w takiej atmosferze, byłaby grzechem! Po-

Zmieniam muchę na niewielkiego, związanego na krótkiej 2-ce muddlerze. Muszka ta swego czasu bardzo podniecająco działała na pstrągi na Czarnej Hańczy na Suwalszczyźnie. Taka niepozorna kombinacja malardów, puchu i piór z szyi bażanta złocistego, srebrnej lamety i sierści sarny. Takie nic, ale jednak mające

nie, ale tym razem rybsko dostaje po zębach. Piękny, pulsujący ciężar na końcu linki. Pstrąg nie pokazuje się na powierzchni, tylko powoli spływa pod mój brzeg. Chodź do mnie ty „mój skarbie! Gdy jednak ryba znajduje się jedynie kilka metrów od moich stóp linka wiotczeje. Co jest?! Nic nie jest... Najprawdopodobniej

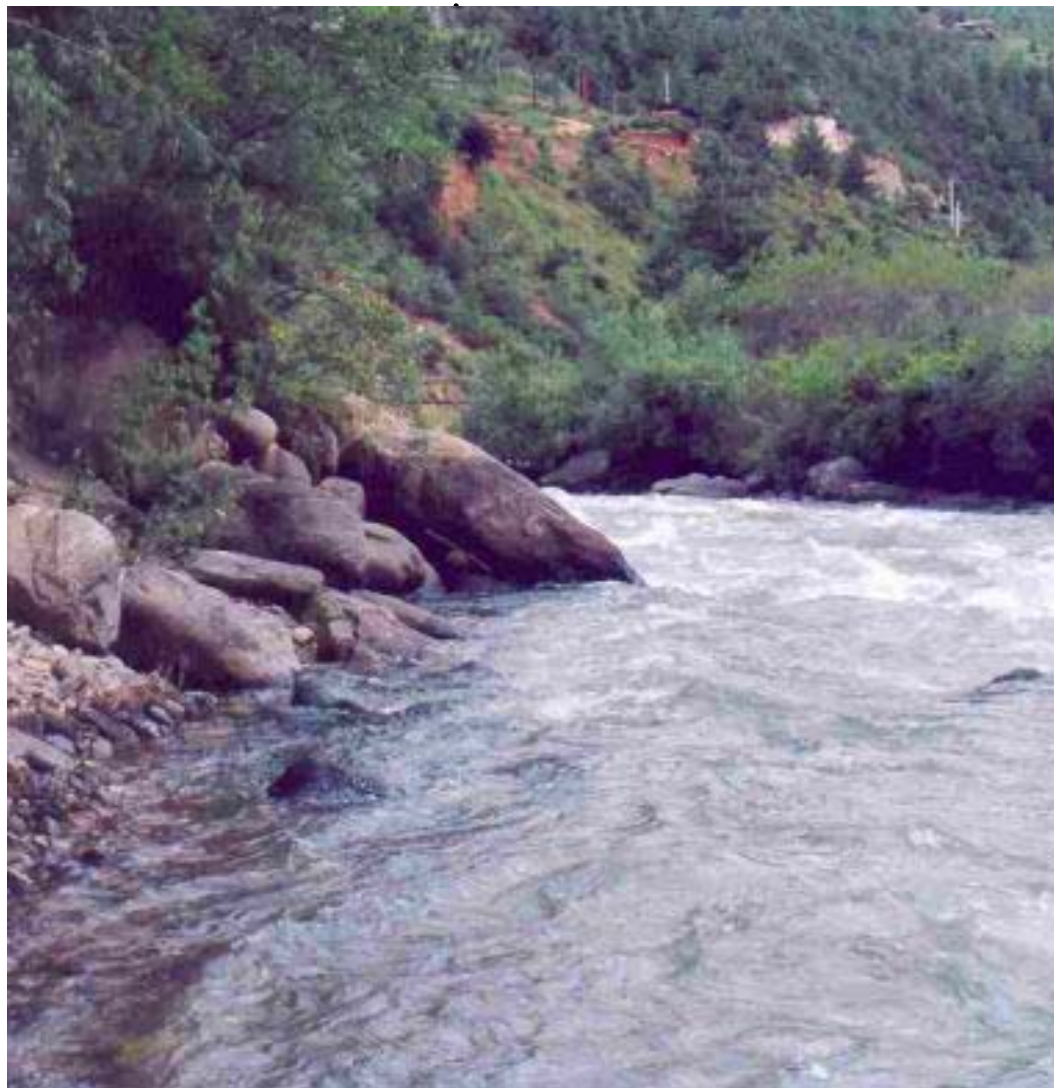
przetarta podczas zmagania z jednym z zaczepów żyłka na przyponie nie wytrzymała moich zapasów z pstrągalem. Szkoda, bo rybka była zacna. Dopiero pod koniec płani łapię kontakt z kolejnym pstrągiem. Ten daje się łatwo wyholować, bo i jego gabaryty odbiegają niestety od rozmiaru poprzednika. Taki „trzydziestak piątak”. Trzeba wracać.

Ponownie wędruję skąpany w zieleni piętrzących się jak schody do nieba pól ryżowych. Przy moście dostrzegam ... WĘDKARZA!!! Prędzej spodziewałbym się tu ujrzeć zlatującego z nieba proroka, lub unoszącego się nad spienionymi wodami Thiphu Chhu buddyjskiego guru, niż faceta z wędką! Nie mam jednak możliwości pogadania z bratnią duszą „po kiju”, gdyż postać po chwili niby duch znikła w przybrzeżnych krzakach. Pytam czekającego na mnie Dorgji, jak to jest z tym wędkowaniem w jego kraju? Prawo zezwala miejscowym łowić ryby, czy nie? Odpowiedź, jak to na Bhutan przystało, nie jest prosta i jednoznaczna. Teoretycznie można, bo prawo pisane zezwala. Ale jest też prawo nie przeniesione na papier. Według surowych norm buddyjskich, Bhutańczycy nie mogą ryb łowić. To kim był ten jegomość w krzaczorach? Okazuje się, iż w królestwie jest mała grupa Chrześcijan, którzy jakby większą wagę przywiązywali do kodyfikacji, niż zakazów religijnych. I oni rybki łowią. Podobnie jak pracujący w Bhutanie Indusi. I tak to okazuje się, iż Chrześcijaństwo niesie w Bhutanie kaganek oświaty wędkarskiej! Razem z Hinduizmem! Co za ekumenizm...

Kolejny dzień wędkowania mam spędzić ponownie nad Thiphpu Chhu. Ale najpierw Dorgji zawiózł mnie w miejsce, które jego zdaniem znakomicie nadawało się do wędkowania, ale było ty tylko zdanie naszego poczciwego przewodnika. Z równym powodzeniem mógłbym próbować łowić na muchę w strudze wody walejącej z kranu lub prysznica! Kranu lub prysznica w baaaardzo makro skali. Widząc moją głupkowaną minę, kiedy to usilnie w sposób dyplomatyczny, starałem się mu wyjaśnić, jakie

to mam zastrzeżenia do tak „atrakcyjnej” miejscówki, Dorgji stwierdził, że zabierze mnie w takim razie na inną rzekę. „Ale przecież zezwolenie ma na Thiphu Chhu”, zapytałem nieśmiało. „Nic się nie martw, tam nikt ciebie nie zobaczy, a ja sam pracowałem tam swego czasu jak inżynier ds konserwacji brzegów, więc wszyscy mnie znają”, odparł nasz przyjaciel, który swoim zachowaniem coraz bardziej zaczął przypominać normalnego kombinującego ziemianina, a

calu nawiązujący do tradycyjnej architektury bhutańskiej, dumnie puścił się bogactwem ornamentyki i tryśką radością pełnej palety barw tak charakterystycznych dla „smoczego” kraju. Już wkrótce będzie to najbardziej ekskluzywny obiekt tego typu w Bhutanie. Dlaczego o tym wspominać? Hotele buduje się przecież na całym świecie. Ale ten jest szczególny! Bo jego właścicielem jest Bhutańczyk, który pieniążków dorobił się na ... kręceniu muszek! Wiele lat



nie buddyjskiego świętego. Tą inną rzeką okazała się być płynąca przez Paro - Paro Chhu. Swoją drogą to rzeki w Bhutanie nie zaskakują bogactwem nazw, nieprawdaż? Zostawiamy Iwonkę w hotelu i jedziemy w górę. Kilka kilometrów powyżej Paro, na prawym brzegu rzeki, Dorgji pokazuje mi będący w budowie hotel. Piękny obiekt, w każdym

temu otworzył fabrykę, która produkuje muchy na rynek amerykański. Ale także i w tym biznesie coraz trudniej jest walczyć z masową i taną chińską tandetą, więc nowym źródłem jego dochodów ma być hotel. Pomimo szczerych starań nie udało mi się jednak z nim podczas mojego pobytu w Bhutanie spotkać. Jak ja byłem w Thiphmu to on przebywał w

Paro, jak przyjechaliśmy do Paro, to facio wyjechał na weekend do stolicy. Jak pech, to pech... Tym bardziej, że wspomniany osobnik sam także łowi na muchę. Ma zresztą z tego powodu poważne problemy w swoim kraju, co uzmysłowił mi jego krewny pracujący w placówce dyplomatycznej Bhutanu w New Delhi. Ciągłe go mnisi w niedzielnych kazaniach z ambony „obsmarowują”... Ale biedak jakoś sobie radzi, bo „biedakiem” nie jest w sensie materialnym i jak już



wspomniałem, co nie jest pisemnie zabronione jest dozwolone.

Po obejrzeniu hotelu jedziemy dalej nad wodę. Dorgji zostawia mnie przy moście i sugeruje abym podążył prawnym brzegiem w górę Paro Chhu. A mam jakieś inne wyjście? Jestem z natury legalistą, ale chęć odkrywania nowego bierze górę i postanawiam nagiąć jednak troszkę surowe prze-

pisy łowiąc w miejscu gdzie teoretycznie nie powinno mnie być. Okazuje się jednak, że miejscowe moce mieszkające w zawieszonym nad doliną na wysokości 3500 m n.p.m. klasztorze „Tigers Nest” /Tygrysie Gniazdo/, nie pozwoliły mi zejść na złą ścieżkę. Prawdę powiedziawszy nie pozwoliły mi zejść na jakąkolwiek ścieżkę! Przez prawie godzinę szwendam się po groblach pomiędzy polami ryżowymi, podwórkach kolorowych domków i drózkach. Pokonuję głęboką dolinę, która wygląda jakby miała na sumieniu już nie jedno muszkarskie istnienie i walczę z kłębowiskami kolczastych krzaków. Mogę sobie tylko pooglądać płynącą w dole Paro Chhu. Podobnie jak opisywane wcześniej odcinki siostrzanej Thimphu Chhu, rzeka przeciska się w szczelnym kordonie krzaków. Jak żyję jeszcze nie widziałem czegoś takiego! Woda na przysłowiowe wyciągnięcie ręki, a jednak niedostępna. Takie lizanie ciastka przez szybę...

Chwilami wydaje mi się, że słyszę szyderczy śmiech demonów zaklętych w kamienie na stokach góry, do której kilometrowych, pionowych skał, wręcz przyklejony jest klasztor. Nie mam zamiaru walczyć z mocami nadprzyrodzonymi i rejteruję. Gdy podążam wzdłuż drogi prowadzącej do nieodległych ruin Druk Yelk Dzong, mam okazję podziwiać Bhutańczyków szyjących z łuków do odległych o prawie 100 metrów tarcz. To ich sport narodowy i zastanawiam się czy w związku z dostępnością tuższych rzek nie przebranżowić się. Może na starość...

Przy moście, zamiast Dorgji, czeka na mnie grupka roześmianych miejscowych dzieci. Ciekawie przyglądają się wędce, kołowrotkowi, kamizelce. Co robić? Wyjmuję pudełko ze stremamerami i daję maluchom możliwość wybrania sobie po muszce. Mam przy tym nadzieję, iż przy wyborze będą się kierować zasadą: świecące, błyszczące. Tymczasem jeden z „wybieraczy” wykazał się niemal profesjonalnym „nosem”. Patrzył, patrzył, aż wypatrzył pięknego wrzosowego „Zonkera” i w ten sposób pożegnałem się z jedną z moich najłowniej-

szych pstrągowych muszek. Cóż, czegoż nie robi się dla krzewienia naszego hobby na tak dziewiczych obszarach jak Bhutan.

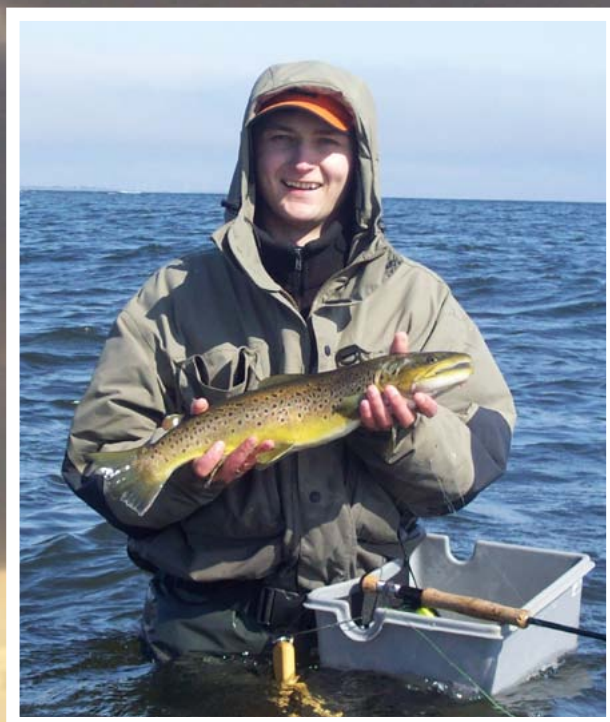


Tylko czy naprawdę jest to konieczne? Czy nasze wydeptane na beton brzegi rzek są w czymkolwiek lepsze od dziewiczych i niedostępnych potoków himalajskiego raję? Czy walczące o atrakcyjniejsze miejscówki tłumy wędkarzy będą pasowały do tej ciszy, dzonków, zagubionych pośród bezkresnych Himalajów klasztorów? Jakoś jestem spokojny o to, że mądrzy Bhutańczycy sobie z ewentualną dziką wędkarską ekspansją na swoich wodach poradzą. I że jeszcze długo Bhutan pozostanie prawdziwym królestwem pstrąga – ‘Kingdom of the Trout’.

Gotlandia

Tekst i zdjęcia: Adam Sujka

Przychodzi upragniony dzień wyjazdu. Zabieramy się trzema samochodami. Każdy z nas na parkingu podniesionym głosem i z iskierką w oku opowiada: co i jak duże to on będzie łapał w tym morzu. Pada komenda, ruszamy. Bez słowa wsiadamy w wypełnione jedzeniem i napojami po dach samochody i wyjeżdżamy ze Słupska około 18.00 i jedziemy w 12 osób do Świnoujścia na prom. O 22.15 wypływamy wielkim promem ku przygodzie. Oby tylko nie jak Titanic!



Na promie zaczyna się najmniej miła część wyprawy. Czekają na nas krzesła i obejmują czule na przywitaniu, ale po 8 godzinach kręcenia się na lewo i prawo, nasza miłość zmienia się w nienawiść. Ciągłe słyszę od chłopaków, że nie będzie więcej oszczędzania na kajutach! Rankiem około 7.00 jesteśmy w Ystad. Szwecja wita nas ładną jak na Skandynawie pogodą. Jest lekko mgliście, ale przebijające się słońce i lekki wiatr nastrajają optymistycznie. W związku z tym, że do następnego promu mamy kilka godzin postanawiamy odwiedzić miejscówki z poprzednich eskapad.

Szybka decyzja co do miejsca połowu. Lecimy na Skilinge (znane i lubia-

ne miejsce), dojeżdżamy na parking i widzimy kilka osób łowiących. Jest dobrze. Troszkę leniwie, ale przebieramy się, grzebiąc w przeładowanych samochodach za ciuchami. Większa część ekipy łowi na muchę, kilku na spina, a kilku nie startuje w ogóle spędzając czas na miłym popijaniu domowego winka i nie tylko. Po kilku godzinach manewrowania po pachy w wodzie pomiędzy wielkim głazami, łowi nas już tylko kilku. Tomek debiutujący na morzu, łowi kelcinkę 50+, a spinningujący Marcel wyciąga dwie rybki. Widzimy jeszcze jedną rybkę wyjętą na muszkę przez miejscowego. Ktoś niby miał, ktoś poczuł targnięcie, ale takie rzeczy to tylko można u nas nad morzem opowiadać, bo tutaj liczą się ryby, duże ryby.





Ogólnie nędza panie!!! Już widzimy, że nie będzie słodko z rybkami. Woda zimna (około 3-4 stopni) wszystko co mieliśmy przy sobie, zrobiło się małe i zwinięte w kłębek. Na szczęście przez najbliższe 7 dni nie będzie nam to potrzebne. Wracamy z wody około 12 i widzimy rozżalone, dziwnie skwaszone miny kolegów. Po winie? Myślimy. Sami bez żon, bez kłopotów otaczającego nas świata. O co chodzi? Za chwilę dociera do nas wieść o tragedii samolotu! Jest cisza.

Nikt nie ma ochoty na pogaduszki ani żarty, siedzimy w ciszy i nie możemy uwierzyć! Po kilku godzinach kiszienia i smucenia, jedziemy 350 km do Oskarshimm na następny prom już do Visby. Po 3,5 godz. dobijamy do kamienistych brzegów naszej wymarzonej od miesięcy wyspy, Gotlandii raję wędkarzy !

Godzina 23.00, wszędzie głęboka cisza i ogólnie panująca czerń. W pojedynczych domach tli się mała lampka przy oknie, a my błądzi-





my parę kilometrów szukając naszej bazy noclegowej. Nawigacja zgłupiała i poszła spać, więc sami prawie za pomocą „kciukowania„ docieramy do celu. Nasze 3 domki są skromne, ale jak na nasze potrzeby wystarczające: łazienka, kuchnia, lodówka, łóżecko z pościelą i już śpimy!

Program dnia od niedzieli do piątku jest taki sam: wstajemy między 5, a 6 rano, szybka kawa, małe śniadanie, kanapki na drogę i jazda. Dzielimy się na dwie ekipy jeżdżące w różne kierunki wyspy. Nasza ekipa (ja, Bartek, Tomek i Sergio) dość przypadkowo natrafia na fajne miejsce (Aminne) gdzie łowimy i spinamy kilka ryb w godzinę.

Zwiedzamy w ciągu dwóch dni mnóstwo miejscówek zaznaczonych na naszej tajnej mapie. Niewiele to nam daje bo wszędzie jest tak samo, może z wyjątkiem fal i cieplejszej o stopień wody. W niektórych miejscach nie dajemy rady łowić, bo gdy fala zalewa cię całego dwukrotnie czujesz się jak „rain man„ i wtedy głupawa także nas czasami dosięga.

Dużo jeździmy po wyspie szukając dogodnych miejsc z czystsza i cieplejszą wodą, woda jest zimna po



stronie Visby, a po przeciwnej stronie wyspy jest może o 1-2 stopnie cieplejsza i tam przeważnie łowimy.

Aminne, Hammars, Slite, zatoka Kapelshamn to nasze bankówki z mapy! Na miejscówkach zaznaczonych przez przyjaciela Tomka, który pracuje i łowi tu przez cały rok nic się nie dzieje: Lummelunds, Lickershamn Vible okolice Visby. Co jakiś czas próbujemy, wracamy w te miejsca, ale nic!!! Najwięcej ryb łapiemy w Aminne gdzie wraz z prądami cieplejszej wody pojawiają się ławi-

ce ładnych rybek. W ciągu dwóch godzin nasza grupa łowi w sumie 13 rybek na odcinku 150 metrów plus Niemcy na spinning 2 duże ryby w okolicach 80 cm. Kolega Wojtek na krewetkę łowi pięknego jazia koło 60 cm . Kelty pływają razem ze srebrniakami. Jednak to kelty są bardziej aktywne, co jakiś czas atakując tubiśka lub krewetkę uwieszoną na przyponie. Łowimy tam ładne rybki : między 60, a 75 cm.

W następnych dniach w tym miejscu znowu pojawiają się rybki. Zbyszek łowi pięknego kelta 80 cm, ja spinam swoją rybę życia na muchę. Grubo ponad 80 centymetrowa ryba po 30 sekundowym holu, skoku i odjeździe do końca resztek odciętego poprzedniego dnia podkładu, robi młynka i odpływa. Pozostaje moja głupia mina i linka, plus kawałek podkładu do zwinięcia na kołowrotek. Artur trafia na strefę cieplejszej i zmaćonej wody gdzie żerują ryby i wyciąga 5 rybek w ciągu godziny. Wszystkie w okolicach 60 cm i więcej, wszystkie przepięknie ubarwione.

W ciągu tych kilku dni trafiamy na piękne słońce ale i także na mocny wiatr, deszcz, gęstej mgły i duży mróz jak na tę porę roku, bo nawet do -5 w





nocy. Większość ryb łowimy w turze popołudniowej koło godziny 18-20. Kilka sreberek daje możliwość mistrzom gastronomii na popisy kulinarne: tatar Wojtek & Suja, marynowany płat w ziołach, czy troć w zalewie octowej Artura Garneli, kończąc na zupie rybnej Wojtek & Piątek mniam mniam !!!! Na takich wyprawach przekonałem się do ryb, bo wcześniej nie jadałem prawie żadnej ryby.

W ostatni dzień pobytu ryby już naprawdę słabo żerują. Są momenty kiedy podchodzą pod brzeg i wtedy

można je skusić na muszki. Bartek ma takie szczęście w nieszczęściu, bo zapina jako jedyny na wyprawie dublet sreberek, ale po krótkim holu strzela mu cały przypon pozostawiając ryby na uwięzi połączone ze sobą. Oj wygląda on jak Brudny Harry, połączony z Frankiem Krugerem. Sprawiedliwości nie ma na świecie, bo Adaś z Ciechanowa łowi w ciągu wyjazdu kilka ładnych ryb. Nikt by się nie powstydził! 80 centymetrowego samca z kufą wielkości sierpa, czy 70 cm srebra szalejącego jak barrakuda! Wyjazd pomimo ciężkich warunków pogodowych (głównie chodzi

o zimną wodę i mróz) no i nie najlepsze, a nawet słabe żerowanie ryb, wspaniały i niepowtarzalny. Piękne widoki. Oczarowała nas kultura jazdy wikingów, zawsze przepiślowo i do bólu uprzejmie. Ach!! Te ich wspaniałe drogi, nawet te leśne mnie zauroczyły. Szkoda tylko, że chleb mają w 90 % słodki, a piwa powyżej 3,5 % szukać ze świeczką. Za dwa lata znowu się wybiorę. Bo muszę się poskarżyć, że co roku to żona nie pozwala mi jeździć i bardzo dobrze bo ile można łowić tych ryb.



Biała Głuchotańska

.....



Tekst: Jerzy Paluch, Zdjęcia: Ewa Kopta



Rzeka w Czechach i w południowej Polsce, prawy dopływ Nysy Kłodzkiej o długości 54,9 km i powierzchni dorzecza 396 km² (w granicach Polski 113 km²). Płyńcie przez Sudety Wschodnie, Płaskowyż Głubczycki i Dolinę Nysy Kłodzkiej, w województwie opolskim. Biała Głuchołaska powstaje z połączenia kilku górskich potoków w górnej części wsi Biała pod Pradziadem (czes. Bělá pod Pradědem) na stokach Wysokich Jesioników.

Płyńcie na północ, przez Białą do Jesenika, gdzie skręca ku północnemu wschodowi. Mija Mikulovice (czes. Mikulovice) i wpływa na terytorium Polski w Głuchołazach. Skręca na północ i do Nysy Kłodzkiej (poprzez Jezioro Nyskie) uchodzi na południowy zachód od miasta Nysa.

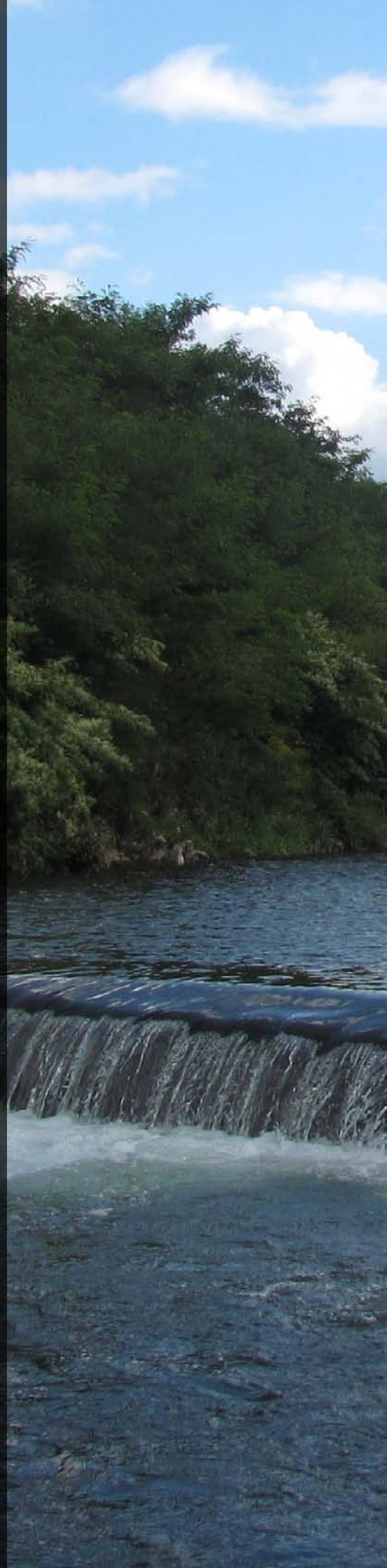
Odcinek na którym łowiliśmy obejmuje miejscowości: Głuchołazy, Boddzanów, Nowy Świątów, Przełęk i Białą Nyską do ujścia rzeki do jeziora.

Można powiedzieć, że to klubowa woda. Problem w tym, że byliśmy tutaj z Ewą po raz pierwszy w życiu. Starzy bywalcy, można powiedzieć „miejscowi”, oraz nasi klubowicze Józek i Arek opowiadali mi o różnicowym charakterze niewielkiej rzeczki, toczącej swoje wody wśród zadrzewionej, dzikiej okolicy. Znając już trochę krajobraz i miejsca w jakich będziemy łowić, przygotowałem się raczej na szukanie dobrych ujęć, niż na sensowne łowienie lipieni.

Odcinek na jaki przyjechaliśmy przypominał mi trochę Wisłę w... Wiśle. Wzmocnienia na brzegach, kaskady i płanie poniżej, pobliskie zabudowania i ulica. Wszystko to przypominało górną Wisłę. Uregulowana kamienista rzeczka o aktualnie niskim stanie wody, starała się uwolnić od krępujących ją umocnień brzegowych i okolicznych zabudowań miasteczka.

W miejscach gdzie jej się udało, czyli dużo poniżej Głuchołaz zaskoczyła nas swoim „dzikim” charakterem podobnym do Łupawy. Kamieniste i miejscami piaszczyste dno, zatopione drzewa, zwisające nisko gałęzie drzew wszystko to powoduje, że rzeczka posiada klimat i można nad nią odpocząć od miejskiego gwaru.

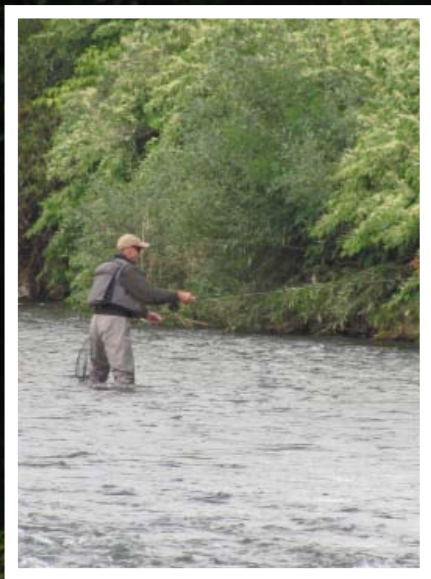
Poniżej samych Głuchołaz, kaskady i przelewy dzielą ją w jednostajnym rytmie. I co ciekawe te odcinki, są najbardziej rybne co udowodniły rozegrane w weekend zawody okręgu opolskiego. Na niektórych odcinkach, trudno złowić coś sensownego, nie licząc sporadycznego pstrążka czy lipienia. Skupimy się dlatego na odcinku górnym i tam zaczniemy nasze łowienie.











Zawody zaczęliśmy od nieszczęśliwego losowania. Środkowy odcinek to obecnie raczej pustynia o czym poinformował nas miejscowy gospodarz. Wprawił w nas w osłupienie stwierdzając że właśnie wczoraj kilku nastolatków w naszym miejscu łowiło ryby. Na puszki z karbidem...

„Podbudowani” tym faktem ruszyliśmy z Jackiem jak najdalej od tego miejsca. Oczywiście musieliśmy uwzględnić również fakt, że po kilkukrotnych nagłych wzrostach wód, ryby nie zachowują się normalnie. Występują grupowo, w kilku miejscach jakie po prostu należy „wychodzić”. Ale jak już je znajdziemy, to ilość brań i nawet wielkość samych ryb będzie zadowalająca. Dominuje lipień w przedziale 25-28 cm ale często można złowić większe sztuki powyżej 30 cm. Rozmawiając z osobami łowiącymi tam stale, dowiedziałem się o dużych pstrągach i lipieniach, ale dopóki sam tego nie sprawdzę, nie będę zbyt rozpowszechniał tej informacji.

Łowiłem z miejscowym kolegą Jackiem, który oprowadzał mnie po rzece, a w zasadzie szedł pierwszy i obławiał co najlepsze miejscówki pozostawiając mi do dyspozycji... dobre ujęcia. W tym czasie Ewa starała się uchwycić swoim aparatem kilka promieni światła, ponieważ zwisające nisko gałęzie i rosnące opodal krzewy skutecz-

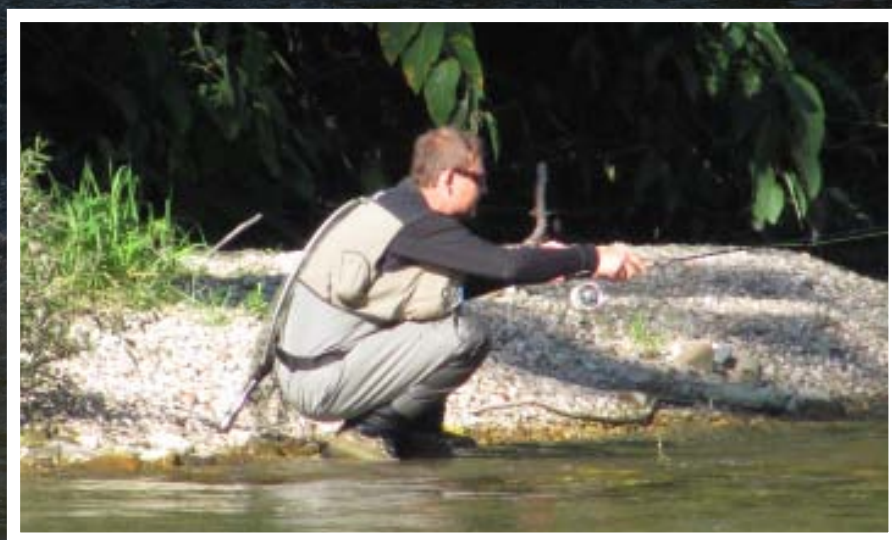


nie zasłaniały nam dostęp do rzeki. Zgodnie z relacją Jacka rzeka zmieniła się po powodziach jak większość naszych lipieniowych rzek. Normalne stanowiska lipieni są puste, a ryby pojawiają się grupowo w najmniej oczekiwanych miejscach.

W naszym przypadku była to dziura na końcówce płani z prawie stojącą wodą, a kilkaset metrów poniżej dołek w pobliżu szybkiego nurtu. Takie namierzone miejsce owocowało od razu wieloma braniami lipieni w przedziale 28-35 cm. Kilka-naście ryb z jednego dołka i cisza. Przejście niżej, kilometr, dwa, drugi dołek i znowu konkretna ilość ryb. Tak wygląda obecnie łowienie na Białej. Łowiliśmy na nimfy i suchą muchę. Sprawdzał się mały, żółto

czarny chruścik na prostym haku #16, popielatka na #18. Z tego co widziałem Jacek łowił na chruścika domkowego z zieloną główką (wielgachnego #8 na prowadzącej) a później na suchą czarną muszkę ze skrzydełkiem CDC. Inni, a wśród nich Mistrz zawodów Józek, połowił na quille (naturalne i barwione) oraz pedałki z tułowiem też z quilla.

Okolica jest przepiękna. Góry, zieleń, szlaki piesze i rowerowe. Rzecka na tym docinku dzieli się na 3 sektory: górny miejski, kaskadowy i dolny dziki. Wspaniałe miejsce na urlop z rodziną. Jak będziecie mieli wolny weekend, warto wybrać się nad Białą z rodziną, zrobić piknik i przy okazji złowić i wypuścić kilka lipieni. Zobaczmy jak będzie na wiosnę.







Sudecka jesień

część 1

Jesenické lipany złotem obsypane

W tym cyklu pragnę przedstawić czytelnikom Flysportu moje ulubione łowiska jesiennie. Białki: Głuchołaska i Łądecka, Nysa Kłodzka, Ścinawka czy graniczna Divoká Orlice (Dzika Orlica) to rzeki, które mają wiele wspólnego, ale też każda z nich, mimo bliskiego położenia geograficznego, ma swoją, niepowtarzalną specyfikę. Na początek zapraszam na flagową rzekę Opolszczyzny – Białą Głuchołaską.

Rzeczka to nie za wielka, kameralna, w sam raz na jesienną wyprawę. I choć lata świetności ma, podobnie jak większość lipieniowych łowisk w Polsce, już dawno za sobą, to lipienie jeszcze tu są. Oczywiście – podobnie jak i w innych rzekach sudeckich, nie dorastają one i tutaj do imponujących rozmiarów, niemniej, trafiwszy na dobre żerowanie można się „pobawić” z rybkami okołowymi.

Swoje źródła ma „Białka” w czeskich Jeseníkach i stąd jej oryginalna nazwa: Bělá Jesenícká. Koledzy, którzy bywają u naszych południowych sąsiadów mogą podziwiać i piękne kardynały, jak i wypasione „duhaki”, czyli pstrągi tęczowe, którymi Czesi obficie zarybiają nie tylko tę rzeczkę. Do Polski Białą wpływa powyżej Głuchołaz i tam też możemy rozpocząć naszą przygodę z muchówką. Na terenie samych Głuchołaz, od wiszącego mostu przy deptaku do tamy przy stadionie wytyczony zo-



stał obręb ochronny, gdzie łowienie jest zakazane.

Charakterystycznym elementem krajobrazu Białki są tamy. Nielubiane przez wędkarzy, wykorzystywane są przez producentów tzw. „czystej energii”. Na odcinku od Głuchołaz, do ujścia rzeki do jeziora Nyskiego zlokalizowano dwie elektrownie wodne, a samych progów jest kilkanaście. I tu mała dygresja: powiedzenie „chcieć, to móc” sprawdza się również w odniesieniu do MEW – iarzy. Otóż elektrownia usytuowana w Głuchołazach tylko w stopniu minimalnym zakłóca życie rzeki. W zasadzie, to jedynym niekorzystnym wynikiem jej działalności jest kilkusetmetrowa cofka spowodowana spiętrzeniem wody. Natomiast druga MEW - a, działająca w okolicach Świętowa Polskiego, nie dość, że osuszyła prawie kilometr rzeki, to jeszcze systematycznie spuszcza zawartość odstożników mułowych. Palicho, że trafiwszy na taki moment łowienie mamy z głowy. Gorsze jest to, że drobinki piasku, mułu i Bóg wie czego jeszcze uszkadzają rydom skrzela i pośrednio wpływają na spadek ich populacji. I – niestety – cały ten proceder jest, wg. urzędników, zgodny z prawem.

Póki co, na razie nie słyhać o kolejnych zakusach na powstawanie nowych elektrowni, niemniej koledzy z nyskiego klubu „Alexandra”, którzy „z przydziału” opiekują się tą rzeką, trzymają rękę na pulsie. Najlepiej jednak o opiece nad Białką opowie czytelnikom Flysportu prezes klubu Adam Litwin:

Białka to rzeka piękna i od dawna uznawana za „opawska perelkę”. Niestety, w większości swojego „polskiego” biegu płynie przez tereny zamieszkałe. A to, jak wiemy, stwarza problemy: kłusownictwo, zanieczyszczenia i chęć zniszczenia poprzez regulacje. Od 1991 roku nasz klub pracuje nad tym aby zminimalizować te problemy. Nasze akcje sprzątnięcia koryta i brzegów rzeki zostały zapoczątkowane już w 1993 roku i stanowią początek „sprzątnięcia świata” w Polsce. Rzeka zarybiana jest regularnie lipieniem i pstrą-

giem potokowym. Jednak od czasu powodzi w 1997 roku jest problem z przyrostami lipienia. Fatum wielkich wód – praktycznie co roku mamy wody powodziowe i to nie tylko w czasie śniegówki, jak również i charakter rzeki sprawiają, że zarybienia nie przynoszą spodziewanych efektów.

Wiele działań naszego klubu ukierunkowanych jest na edukację ekologiczną w szkołach podstawowych i średnich. Prowadzimy pogadanki na tematy związane z ochroną wód, a młodzież, zapraszamy potem do wspólnej pracy przy zarybieniach i sprzątnięciu rzeki. Mamy nadzieję, że tym sposobem wychowany generację, która inaczej spojrzy na temat naszej Białki.

Od kilku lat jesteśmy zapraszani do udziału w konsultacjach społecznych związanych z „życiem” Białej a nie zbędne prace, związane z umocnieniami brzegów i częściową regulacją, konsultowane są z klubem. Jako pierwsi odważni, już w latach 90-tych, podnieśliśmy wymiar ochronny lipienia do 33 cm, choć w klubie obowiązuje dżentelmeńska umowa – nie zabieramy tej pięknej ryby. Po długich bojach stworzyliśmy mactecznik w Głuchołazach, który od 2010 jest „obrubem ochronnym”. I na koniec najnowsza wiadomość: 8 października br. Zarząd Okręgu PZW Opolo, po naszych apelach, podjął decyzję o utworzeniu na Białej Głuchołaskiej łowiska „no kill”. Będzie to odcinek od tamy poniżej Głuchołaz do mostu przy drodze na Markowice, a wejdzie w życie z dniem 1 stycznia 2011 r. Zapraszam również na www.alexandrafly.za.pl

Po każdej większej wodzie koryto rzeki zmienia się znacznie, co jest wynikiem dość miękkiego w niektórych miejscach dna. Białczańskie dołki bywają krótkie i głębokie. To powoduje, że w połowach na Białej Głuchołaskiej dominuje nimfa. Sprawdza się to wszystko, co i w innych rzekach: najróżniejsze złotogłówki, kiełże, hydropsyche, no i oczywiście – lokalny sudecki wynalazek – skórzaki, czyli nimfy tworzone na bazie skóry tchórzofretki o różnokolorowych podkładach. Sucha mucha jest skuteczna,

ale głównie wtedy, kiedy widać zerowanie powierzchniowe. Wymuszanie raczej nie da nam zadowalających wyników, to nie San, czy Dunajec. Łowiąc na „sucharka” nie stosujemy jakichś tajemnych wzorów. Teraz, w październiku i listopadzie będą to klasyczne popielatki, oliwki i quille.

Lipienie trzymają się głównie rybnianych różnokolorowymi kamieniami. W tamach raczej nie ma ich za wiele, zresztą – chyba niewielu muszkarzy lubi łowić w betonie. Dopiero od kilku lat, kiedy Głuchołazy otrzymały oczyszczalnię ścieków i zniknęła glutowata wyściółka dna, można w pełni podziwiać bogactwo kolorów, którym natura obdarzyła tę rzekę. I na takim właśnie, różnobarwnym dnie, szukamy lipasków.

Na zakończenie winien jestem Czytelnikom pewne wyjaśnienie. Tytułowe określenie: „lipienie obsypane złotem”, to nie jakaś literacka przenośnia, chociaż złote kolory nadrzecznych drzew kojarzą nam się nieodmiennie z jesiennymi połowami lipieni. Chodzi o niespotykane w innych rzekach zjawisko: otóż podczas brodzenia na „miękkich”, żwirowatych odcinkach rzeki, spod nóg wypływają nam „chmurki” składające się z drobinek „złotego pyłu”. Nie wiem, czy to jakaś mika, piryt, czy inny, złotopodobny minerał. W każdym razie wygląda to tak, jakbyśmy „ozłocali” nasze ukochane ryby. Na co zresztą one w pełni zasługują.





Tekst: Jerzy Paluch
Zdjęcia: Jerzy Paluch, Adam Sujka

inżyn





Nasza podróż jest dziwna. Już od Bytowa, jadąc na północ, wyszukujemy w krajobrazie oznak zbliżania się do morza. Wysokie sosnowe lasy, nagłe wniesienia i dolinki z przepięknymi małymi jeziorami. Coraz szersze pola, prowokują nas do poszukiwania na horyzoncie błękitu nieba stykającego się z granatem morza.

Mijamy farmy wiatrowe. Wielkie skrzydła wiatraków powoli miela powietrze. Z daleka pobłyskują w jesiennym słońcu swoimi białymi skrzydłami. Majestatyczne i silne. Według mnie pasują do tego krajobrazu. W końcu ratują też część lasów jakie są dookoła. Farm na północy jest wiele. Zwolenników pozyskiwania energii w taki sposób, coraz więcej. Minusy to zagrożenie dla owadów i ptaków. Innych zagrożeń praktycznie nie ma, a



opinie laików o hałasie i uciążliwości tego typu konstrukcji, można włożyć między bajki.

Krajobraz zmienia się z każdym przejechanym kilometrem. Coraz szersze łąki i pastwiska na nich stada owiec i pasące się konie. I w końcu jesteśmy blisko morza. Widać już plamki statków na granatowym horyzoncie. Za chwilę znikają za linią drzew, bo jedziemy już w kierunku nadbrzeża. Zjeżdżamy do portu, który wita nas zimnym przenikliwym wiatrem.



Tu będzie nasza baza wypadowa. Tradycyjnie już będziemy mieszkać w Ustce, jesienniej bazie polskich muszkarzy. Biegniemy do portu, na główki, poodychać zimnym morskim powietrzem. Jest przenikliwie zimno, ale słonecznie. Nieliczni turyści przemieszczają się wzdłuż plaży, zwolennicy poszukiwania bursztynów grzebią w nabrzeżnym piasku, a specjaliści w tej dziedzinie używając wędkarskiego sprzętu (spodnie i podbieraki) wyjmują z przybrzeżnej wody wodorosty i muszle. Pośród nich szukają cennej zdobyczy, zostawiając turystom 2-3 mm kawałki żywicy, a biorąc dla siebie te większe kilkucentymetrowe. Jesteśmy świadkami wyłowienia właśnie takiego kawałka bursztynu.

Spytacie się dlaczego tutaj. Trochę z przyzwyczajenia (Jesienny Lipień Łupawy) trochę dla uspokojenia naszych rodzin, założenie bazy wypado-

wej tutaj ma sens. Rodzinne spacerunki po plaży, Nordic Walking, zwiedzanie starej osady rybackiej, portu, możliwość korzystania z pobliskich barów i restauracji zlokalizowanych na deptaku prowadzącym do latarni i portu rybackiego, to wszystko powoduje, że wyjazd na ryby staje się wreszcie wyjazdem rodzinnym. Dla zainteresowanych architekturą miejską w starym i dobrym stylu niemieckim, polecam wizytę w Słupsku. Tutaj trzeba zajrzeć do galerii plastyków w starej wieży i zobaczyć pobliski ratusz i budynek poczty.

Rodzina ma co robić. Ustka daje nam tę możliwość również poza sezonem. Nocleg to koszt rzędu 25-35 zł od osoby, a dobra gorąca zupa w eleganckim Fisherman's House kosztuje tylko 3 zł. Dodatkowo po długim nadmorskim spacerze, możemy skorzystać z herbaciarni-winiarni na ulicy Marynarki Polskiej 14. Rodzaj herbaty dobierze według Waszych upodobań sam właściciel lokalu, opowiadając długo o sposobach i czasie jej parzenia. Do napoju polecam ciasta domowego wypieku. Są wyśmienite bo podawane na gorąco. To co podają na deptaku jest raczej jedzeniem „dworcowym” i nie nadaje się do opisania, chociaż czasami można trafić na naprawdę świeżą i dobrą rybę.

Czujemy już, że zrobiliśmy dla naszych towarzyszek życia prawie wszystko, czekamy na ich ostatnie





słowo. Czekamy no to ich błogosławieństwo jak marynarze przed wypłynięciem na morze, a po chwili kiedy pada słowo „możesz”, pakujemy się i czekamy na świt. Ruszamy wczesnym rankiem. Na południe.

Nasza trasa to powrót do Słupska i kierunek na Gdańsk. Od nas zależy czy będzie to 30 czy 40 km. Na całej obranej przez nas trasie, mijając będziemy szerokie pola i aleje drzew wzdłuż coraz węższych dróg dojazdowych. Wtedy kiedy drogi zmieniają się na wybrukowane dukty, będziemy już blisko. Jazda po takich drogach jest nerwowa. Cel jest nam znany, ale jego pojawienie jest zawsze zaskakujące. Po dotarciu do Damnicy, szukamy miejsca na parking. Dobieramy sprzęt, bierzemy wędkę i szukając wzrokiem jakiejś leśnej dróżki, idziemy w las. W tej sytuacji jedną z naprawdę potrzebnych rzeczy byłby GPS lub kompas. Jeśli nie macie takowego, warto się w niego zaopatrzyć, bo dojście do wody w tych okolicach to przeprawa przez górki i doliny, gdzie drogę zgubić bardzo łatwo. Dosłownie. Leśna przecinka zmienia się w ścieżkę aby po chwili zginąć całkowicie. Las zostawia nam wybór drogi jaką chcemy dotrzeć do rzeki.

W mglisty jesienny poranek idę tym lasem oddalając się od drogi. Pokonuję kolejne wzniesienie. Staję zdyszany poszukując wzrokiem wody.

Nie ma. Widać tylko zarośla, wysokie bukowe drzewa i niesamowite kolorory jesiennych liści. Nasłuchuję jak liście spadają w dół. Cisza i spadające liście. Słyszę tylko ten dźwięk, nic więcej. Gdzies w dole jest ta rzeka. Znana z opowiadań naszych kolegów oraz z naszej zeszłorocznej wyprawy.

Schodzę w dół na złamanie karku wiedząc, że gdzieś tam w dole jest cel naszej kilkuset kilometrowej podróży. Przedzieram się przez kolejne pnącza, krzaki kolczastych krzewów wplątują się w nasze obute stopy, jakby chciały nas zatrzymać w tym miejscu. Po odzyskaniu równowagi spoglądam przed siebie i nagle bezszelestnie ukazuje mi się ona, rzeka. Łupawa w pełnej krasie.

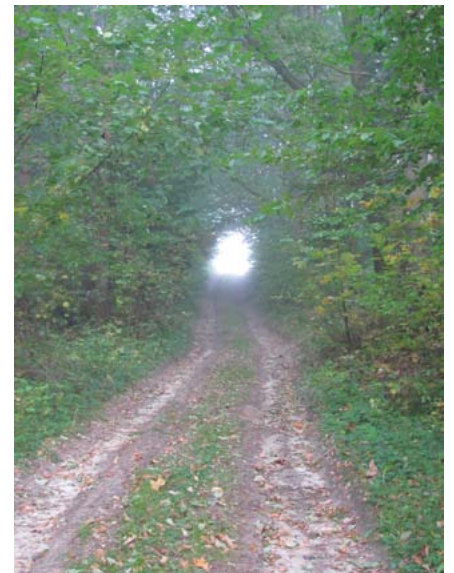
Zwalona do wody sosna przegradza wodę w połowie. Trochę powyżej, na żółtym tle pokrytego liśćmi stołu, widać zielono siwe pnie buków. Rzucają one swoje cienie na leniwie w tym miejscu płynącą rzekę, dzieląc ją na pasy ciemnej i prześwietlonej słońcem wody. W ciemnej torfowej wodzie, widać jaksrawo zielone glony i wielkie kamienie.

I stoję tak ubrany w tą kamizelkę, buty i spodnie membranowe. I już wiem, że jestem tu intruzem.

Mam trudny wybór: łowić czy robić zdjęcia? Trochę się ociągając, po zrobieniu kilku zdjęć, uzbrajam sprzęt. Przypon, kielże o jedynym słusznym rudym kolorze. Wybieram wolniejsze odcinki rzeki i zaczynam. Lipień powinien już wchodzić w spokojniejsze partie wody. Przykosa, płytkie wolne prądy, to jego ulubione miejsce.

Zaczynam połów, tylko nie bardzo wiem jak to nazwać? Ucztę, bachanalia? Bo lipieni jest sporo. Małych, większych i tych powyżej 40 centymetrów. Biorą delikatnie, walczą z gracją i wracają po chwili do wody. Nimfa w godzinach porannych, sucha mucha popołudniem to zabójcze sposoby. Ale zdarzają się też momenty kiedy ryba nie bierze. Godzina czy dwie bez brania i później znowu jedno, dwa lub trzy pobicia pod rząd. Inna sprawa to fakt, że ryba nie stoi pojedynczo. Zwykle ciągnie się po kilka sztuk z jednego miejsca.

Dochodzę do łąki z glonami. Może przejdę poniżej bo tam ciekawsze miejsca. Ale myślę, że tutaj mało kto łowi. Woda trudna, płytko, mnóstwo glonów. Widzę małą lukę pomiędzy nimi. Przegłębienie na 150 cm z wodą do kolan. Skradam się powoli raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Zmieniam zestaw na lżejszy, naturalniej spływający w lekkim prądzie. Muchy podaję powyżej. Wpadają do wody, spływają po glonach prosto w przegłębienie. Idą dobrze, ale









nic się nie dzieje. Kolejny rzut i następny. Dołek rozjaśnia lekko słońce przebijając się przez liście drzew. Przytrzymanie, zacinam lekko. Wielki lipień pokazuje swój bok dając znak, że jest zapięty. Szybkie podejście i hol. Długi srebrzysty czterdziestak ląduje w podbieraku. Sami wiecie jakie to uczucie. Pierwsza taka ryba tego dnia.

Rzeka jest urozmaicona. Szybka, wolna, kamienista, piaszczysta. Z łakami glonów dla miłośników łowienia na kielżyki bez ołowiu na haczykach #18. I dla lubiących łowić ciężko. Dla każdego coś się znajdzie.

Postanawiam dotrzeć do odcinka gdzie łowi kilka znajomych osób. Idę brzegiem, aby szybko dotrzeć do kolegów. W oddali jakiś hałas. Coś niezwykłego w tej okolicy. Uprzedzany przez miejscowych wędkarzy o możliwości spotkania dzika, przystaję i wyciągam... aparat. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, ale wykorzystując do maksimum zoom w swoim kompaku, łapię chwilę kiedy dwie sarny przekraczają Łupawę. Nie do wiary.

Docieram do chłopaków. Przy tym stanie wody wchodzą odważnie i głęboko. W tym ich łowieniu czy jak inni wolą treningu, jest jakieś skupienie. Coś innego niż krzyki nad Sanem. Jest jakaś zaduma i pokora dla tego miejsca.

Kolejny hałas i znowu to nerwowe rozglądanie się w koło. Dzik? A może znowu sarny? Hałas się nasila i po chwili widzę już rudą kurtkę kadrowicza i znajomą twarz. To Józek Lach

w swoim stylu, idzie jak burza przez brzeg rzeki, powalając po drodze co młodsze drzewka :) Krótka wymiana zdań i wchodzimy do wody łowiąc kilka minut blisko siebie. Józek trochę narzeka na ilość ryb, ale obaj wiemy, że jego walka o miejsce w kadrze będzie nerwowa. Życząc mu szczęścia w tym boju, wracam w górę rzeki.

Dzika rzeka broni swoich skarbów na różny sposób. Gałęzie wiszą nad wodą, dlatego łowienie w zalesionych odcinkach na dłuższe wędkę to katorga. Używałem sprzętu klasy #4 długości 8,6" i ten wybór wydaje się sensowny. Są jednak odcinki wolniejsze od zarośli i szersze, gdzie wędka do żyłki zdaje egzamin. Zastanówcie się zatem nad doborem ekwipunku przed wędrówką, bo przebijanie się przez zarośla z długim kijem to zawsze możliwość jego złamania. A do auta daleko.



W pobliżu nurtu, spowolnienie i kolejny dołek. Zmieniam zestaw, ale wielkość much pozostaje bez zmian. Rzucam dużo wyżej w górę żeby zestaw mógł spływać jak najdłużej. Na końcu spływu agresywne prowadzenie i jest trzydziestak ląduje po chwili w podbieraku. Wziął na skoczka. Schylam się żeby go wyczepić i w tym momencie do pływającej w wodzie prowadzącej uderza drugi lipień. Zapina się sam. Lekko skosternowany nie namyślając się zbytnio zagarniam go podbierakiem. Taki maluch 27 cm uderzył na smużącą na wodzie nimfę. Odjazd.

Kolejni koledzy pojawiają się na brzegu. Tym razem to ekipa z Suchej Beskidzkiej. Wymieniając swoje uwagi dotyczące otoczenia w jakim łowimy, stanu wody i możliwości uzyskania dobrego wyniku na zawodach, ukradkiem podglądamy sobie wzajemnie wzory much. Jest trochę śmiechu i przekomarzania się, ale i tak wiemy, że to co nas czeka za kilka dni to wspaniała rywalizacja, tak daleka od opisów krwawych zawodów na różnych internetowych forach.

Moja wędrówka tego dnia powoli się kończy. Zmierzch przychodzi tutaj szybko, a ja wolę w trakcie dnia przechodzić przez las. Pokonuję wzniesienie i kontynuuję wędrówkę do cywilizacji.

Wracam do Ustki wieczorem. Gospodarze u jakich mieszkamy, Państwo Drozdowscy, zapowiedzieli na dzisiaj śledzie z patelni. Dla nas zwykłych zjadaczy śledzika w śmietanie lub









oleju, albo po japońsku, brzmi to dosyć dziwnie, ale cóż, spróbujemy. Wiemy już, że Andrzej kupił śledzie i czeka na nas. Nie ma co kryć, nadarzająca się okazja wspólnej kolacji z miejscowymi wędkarzami i muszkarzami to też źródło wiedzy na temat „gdzie i jak” łowić lipienie. W trakcie tej uczty dowiadujemy się nie tylko o tym, że śledzik z patelni jest wart grzechu, ale również skwapliwie notujemy wszystkie uwagi dotyczące kiełży i słynnych Red Bulli.



Z tą ostatnią muchą wiąże się pewna historia. Historia ta jest związana z Łupawą, a szczególnie z „ojcem” wynalazcą tego wzoru, Witkiem Polakowskim.

Miałem okazję łowić z Witkiem na zawodach (oczywiście było 3:0) i podpytałem go w trakcie jak wygląda prawdziwy Red Bull. Kilka lat temu metodą prób i błędów Witek doszedł do tego, że łupawskie lipienie i pstrągi, lubią nazwy energetyzujące :).

Ale mówiąc serio, jest to muszka, przy zastosowaniu której jej wynalazca, wygrywał przez kilka sezonów ważniejsze zawody w swoim okręgu. Inni koledzy próbowali kopiować jego wzór, ale tylko oryginał sprzedał się w 100 procentach. No i w końcu zobaczyłem tę „wuderwaffe” wału pomorskiego. Czarny tułów z lekką domieszką zielonego flesza, srebrna lub złota główka i dwa kołnierzyki z dubbingu, żółty i czerwony.

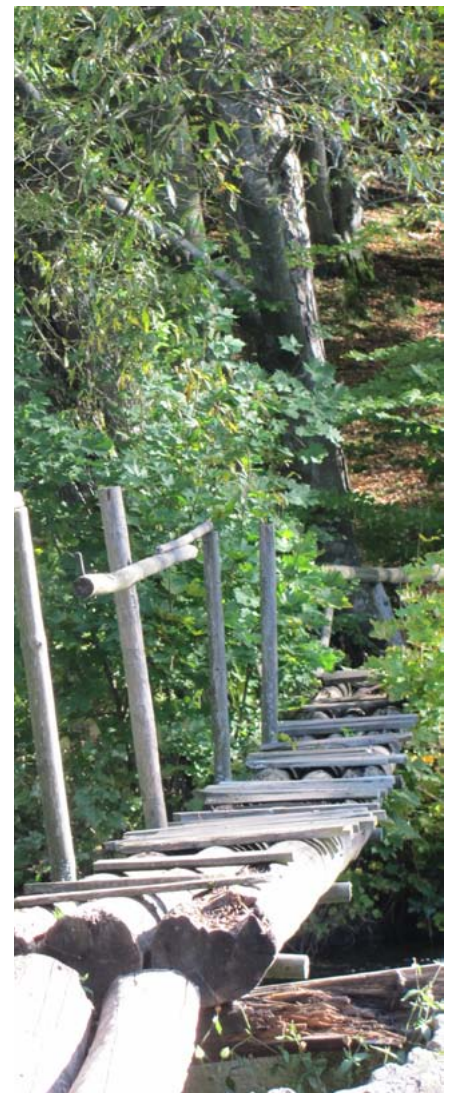
Jak wspominał sam autor wersja z kołnierzykiem wrzosowym to „biskup”. Nie wiem co miał na myśli, ale chyba nie to, że lipienie kłękają na jej widok...

Tak więc wiemy już, jaka nimfa jest dobra na pomorskie lipienie. Witkowi. Ale uprzedzam Was, że po szkole jaką dał mi Witek na swoim stanowisku, podejrziałem co nieco i mogę stwierdzić: nie jest tak ważne na co ale jak. Witek prowadzi swoje muchy dosłownie przy kijku. Ze szczytówki wychodzi mu 10-15 cm sznura dalej jest już tylko przypon. Woda prawie dotyka końcówki sznura. Spytany o taki sposób łowienia, autor Red Bulla mówi, że łupawskie lipienie nie boją się wędkarzy. Jak nie uderzysz ich butem, stoją dosłownie pod nogami i tam należy ich szukać.

Z tą wiedzą, udałem się na moje ostatnie stanowisko na zawodach w tym sezonie. W sektorze C wspólnie z kolegą z Krosna, łowiliśmy lipienie rozkoszując się kolejnymi już wspaniałymi widokami. W trakcie naszej wędrówki na stanowisko spadł deszcz. Ale deszcz jesienny, czyli taki poranny, po przymrozkach, gdy zmarznięte liście podgrzane podnoszącym się słońcem oddają naturze krople wody. Zdziwieni tym opadem weszliśmy do wody. Moje lekcje u Witka nie poszły na marne. Po 30 minutach miałem na koncie 5 lipieni, po całej turze 8. Kilka spadów, kilka mniejszych sztuk potwierdziło tylko fakt rybności tej wody. Lipienie powyżej 35 cm, stały w wolniejszej wodzie pod drzewem w pobliżu głębokiego wlewu.

Jak można podsumować to łowisko? Jest to dzika rzeka z zachowanymi naturalnymi stadami pstrąga i lipienia. Koledzy łowiący tutaj w sezonie pstrągowym, chwalili się okazami w granicach 50 cm. Nam udało się złowić tylko kilka małych pstrązków. Muszę sprawdzić ilość tych ryb w przyszłym roku. Namawiam Was do tego samego, do odwiedzenia Ustki, Słupska, Łupawy. Wiosną latem lub jesienią. W chwili obecnej mogę jednoznacznie stwierdzić, że to obecnie najlepsze łowisko lipieniowe w Polsce.

W trakcie Waszej przygody, kiedy spowszednieje Wam już bajkowy widok drewnianego mostu przegradzającego rzekę w jej zakolu, lub wijący się w naturalnej dolinie, torfowy w swoim kolorze nurt, możecie przystanąć jak ja, usiąść na zwalonym pniu i pomyśleć. Ile jest jeszcze takich miejsc w Polsce?



Co mi się nie

Jesienny Lipień Sanu - wrzesień 2010 r.



... podoba na Sanie

Artykuł: Jerzy Paluch Zdjęcia: Jerzy Paluch, Wojtek Marzec



To mi się nie podoba. Jest zbyt pięknie, ładnie, zbyt pogodnie. I ta niska woda nad Sanem. Widać sploty ryb. Chłodne mgliste poranki, ciepłe popołudnia i zimne wieczory. Dziwnie. Niski stan wody pozwala na swobodne wędrowanie w górę i w dół rzeki i łowienie na suchą muchę. Przemieszczam się w tym rajku, startując w zawodach muchowych. Moim celem nie jest zabicie kilku ryb. Chcę tylko ukraść z Sanowego rajku, trochę zdjęć i wiele emocji związanych z hołem króla tego okresu, lipienia.

Łączki - bankowa miejscówka

Każdy szanujący się muszkarz, wie gdzie znajduje się polanka nad Sanem, gdzie na ławeczkach pod parasolami można przysiąść i w cieniu drzew, kontemplować widok łowiących ryby wędkarzy. Tam na tle zalesionej skarpy, jaskrawe sznury zamiatają powietrze, tnąc je ze świstem. Wykonują swoją pracę, pomagając dostarczyć suche muszki, przed tworzące się lipieniowe oczka.

Pod drugim brzegiem dominuje pstrąg. Środek nurtu i głębsze rynny pomiędzy skałami to królestwo lipienia. Tam należy położyć swoją imitację jętki i czekać na powolne wyjście ryby do powierzchni. Prądziki dają nam lekką przewagę. Lipień jest mniej uważny i trochę bardziej lekkomyślnie i gwałtownie zbiera podaną muszkę. Na płaniach jest już dużo trudniej. Przynęce można się długo przyjrzeć, ocenić, a dopiero po jej pozytywnej akceptacji zebrać. Trudno tutaj mówić o uderzeniu. Czasami jest to delikatne skubnięcie powierzchni, czasami powolne majestatyczne przewinięcie się nad muchą i zagarnięcie jej pod wodę. Z zacięciem zdąży każdy. Jak doczeka się brania.

Poranek w Łączkach był piękny, ale oznak żerowania nie było widać. Może to niska temperatura wody, może brak różki owada. Tak myślałem ja i moich 3 kolegów kompletujących właśnie sprzęt. Łączki, mekka wszystkich muszkarzy, to miejsce wielokrotnie opisywane na forach muszkarskich w internecie. Dlatego ze względu na bardzo wysoką presję w tym miejscu, może być dowodem na rybność rzeki w jej najbardziej obleganym miejscu. W końcu wystarczy złowić 40 taka, przejść na drugą stronę ulicy, kupić piwo i już po chwili rozpowszechniać w pobliskiej restauracji swoje wyjątkowe umiejętności łowieckie. Łatwe i proste.

Zawody i zawodnicy

Szybkie nerwowe podania much, stopniowo ustępowały szerokim wymachom i coraz dłuższym rzutom. Łowienie na krótki dystans, nie zdawało rezultatu. Świszczące sznury powoli cichły, oddając pole mniej wybrednym dźwiękom. Szukano lipieni wszędzie. Nawet pod drugim brzegiem, licząc w ostateczności na tego jednego zaplątanego wśród pstrągów. Muchy w przedziale 18-22 nie zdawały egzaminu. Najbardziej odważni i obdarzeni dobrym wzrokiem wędkarze, podawali swoje wzory na hakach 22-24 licząc, że zauważą zbiórkę muszki z większej odległości. Muszki z tułowiem o długości 2-3 mm. Stopniowo robiło się cieplej. Szczególnie tym, dla których rywalizacja i wynik sportowy miały jakieś znaczenie. Po pierwszej godzinie zawodów każdy z nas wiedział, że jedna ryba zrobi wynik i że każde wyjście do naszej muchy to dar od Boga. Niestety Bóg nas tego ranka nie kochał.

Ryby-eksperci

W Łączkach, miejscówce obleganej przez ortodoksów muchy i wszystkich uważających sport muszkarski za zło, Boga nie ma. Nie ma też lipieni. Są niedobitki pstrągów. W dwóch postępujących po sobie turach, 8 zawodników nie złowiło ani jednego lipienia. Na innych odcinkach rzeki, tych mniej popularnych i trudniej dostępnych, widać było wyjścia dużych (30-40 cm) i bardzo dużych (40+) ryb. Jednak ich złowienie było niespotykane trudne. Udało się tylko najlepszym i najlepiej przygotowanym do takiej rywalizacji. Rywalizacji z lipieniami, które potrafią podbijać muchę 3 razy, żeby za czwartym delikatnie wprowadzić ją do pyska. Lipieniami, podchodzącymi do muchy na odległość 1 cm i obserwującymi jej ruch na powierzchni, spływając w takiej pozycji 150 cm. Lipieniami, powyżej 40 cm rwącymi żyłki 0,08 jak nitki bągiego lata.

Ludzie jak ludzie

Ryby trafiają na bardziej lub mniej skutecznych wędkarzy. W obliczu wyjątkowych trudności, presji czasu, uwidaczniają się ich emocje. Dużo emocji. Jedni starają się wyładować swoją frustrację na sprzęcie (walenie wędką w wodę) inni po kolejnym nieudanym zacięciu klną (wiązki lub pojedyncze plucie), jeszcze inni cały czas mówią do siebie, komentując każdy swój ruch na wodzie. Ryby na całe szczęście, znoszą to ze spokojem.

Są też indywidualia, które po udanym i pełnym adrenaliny holu, wyładowują się na... sędziach. Jak inaczej można ocenić postawę zawodnika, który po złowieniu lipienia woła sędziego, a nie widząc go przez 5 sekund (!!) w polu swojego widzenia, złorzeczy na organizatora, zawody i w końcu o zgrozo na... ilość ryb na Sanie. Widać emocje i logika nie idą zawsze w parze. Ale liczymy za to na konsekwencję i spełnienie obietnicy: „...to moje ostatnie zawody na tej rzece!...”

Zawody na Sanie były nerwowe i... pięknie. Strasznie trudne stanowiska, duże ryby, trudny dobór muchy. Wszystko to powodowało, że wyniki były zaskakujące. Dużo zer w obliczu takich warunków, wcale nie dziwi. Inna sprawa, że umiejętności były sprawdzane okrutnie szybko, a w powiązaniu ze złym losowaniem była to śmiertelna mieszanka.







Wielkie lipienie na Sanie mają się dobrze. Czy to z błogostawieństwa OS-u czy też z racji swojej siły i odporności na większą wodę. Lipienie są w dobrej kondycji, jest ich sporo i są do złowienia dla zaawansowanych muszkarzy. Dla amatorów szybkiej ryby, jednodniowych muszkarzy, zwolenników pół dniowego wypadu po świeże mięso, są niedostępne. Dlatego też narzekania są powszechne. Na działaczy okręgu, zawodników na ideę sportu mułowatego. Ale ryby są i będą trudne do złowienia. I to akurat podoba mi się najbardziej.





Mistrzostwa Europy Bośnia 2010

Tekst: Bartek Rapiej Zdjęcia: Maciek Pszczołkowski, Bartek Rapiej

Po przejechaniu prawie 1000 kilometrów docieramy do małej bośniackiej wioski niedaleko Sipova, malowniczego miejsca nad rzeką Janj, z którego wyruszyliśmy przez trzy dni na nieoficjalne treningi. Łowimy na czterech rzekach i jeziorze z różnym skutkiem. Wieczorne odprawy, pierwsze wnioski, krętarce w nocy przy imadłach - machina powoli zaczęła się rozpędzać.

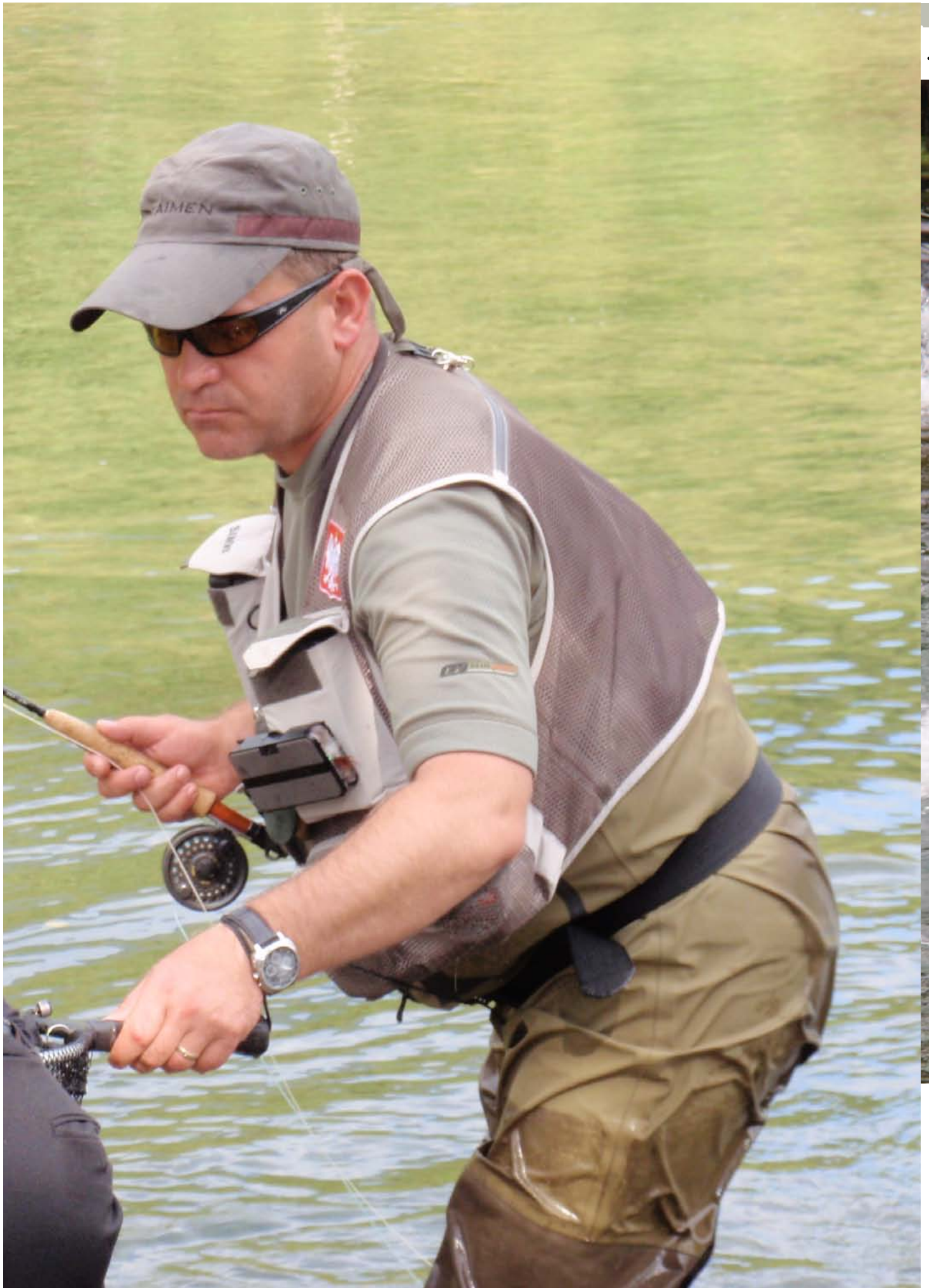
Odległości pomiędzy sektorami były tak duże, że już po pierwszym dniu wiedzieliśmy, że organizatorzy będą mieli duży problem z rozwiezieniem zawodników na czas.

Nadszedł dzień wyjazdu, żegnamy gospodarzy i wyruszamy do Banja Luki, gdzie popołudniu miała odbyć się ceremonia otwarcia XVI Mistrzostw Europy w Wędkarstwie Muchowym. Niestety, nie było nam dane w niej uczestniczyć, podobnie jak Słowakom, Hiszpanom czy Rumunom, gdyż organizator nie zadbał o przewóz ekip z hotelu do oddalonej o kilka kilometrów hali sportowej. W biurze zawodów nikt nie potrafił nam powiedzieć, jak trafić na miejsce uroczystości i po godzinnym poszukiwaniu dotarliśmy na koniec ceremonii otwarcia. Początek niezbyt fajny - zobaczymy jak będzie dalej.

Kolejny dzień to czas oficjalnego treningu, ostatnich ustaleń taktycznych i losowania. Trzeba przystosować się do nowych zasad. Na rzekach łowi się na... 1 muchę; na jeziorze na 3. Łowią na jednym sektorze z Andrzejem Zasadzkim, a numery stanowisk mamy poznać w autobusach bezpośrednio przed każdą turą. Zawody zaczynam na Sanicy - niewielkiej rzeczce o kryształowej wodzie pełnej płochliwych lipieni, które jednak po lekkim zmąceniu wody butami przestają być ostrożne i można je łowić metr od nóg. Docieram na stanowisko na 9.30, o tej godzinie miała rozpocząć się I tura zawodów. Na nic zdały się moje próby tłumaczenia sędziemu, że przysługuje mi pół godziny na przygotowanie sprzętu i rozpoznanie stanowiska. Całe szczęście, że łowiłem w tym miejscu półtora miesiąca wcześniej na treningu.

Początek jest bardzo dobry. Kilka minut i zapisane trzy rybki. Wiem, że trzeba złowić powyżej 20 sztuk, by zaliczyć dobry wynik. Łowią 5-metrowym przyponem z żyłki 0,15 i końcówce 0,10. Po kolejnej rybie sędzia informuje mnie, że nie mogę łowić wytrenowanym sposobem prowadząc nimfę w mętnej smudze, bo nie zapisze mi kolejnej ryby. Wynik to 10 ryb i 11. miejsce w sektorze. Wygrywa 30 sztuk, a Andrzej z 27 rybami jest drugi. Początek fatalny, a miałem stanowisko, na którym można było wygrać sektor. Chyba zbyt dużo rzeczy naraz sprawiło, że nie mogłem się pozbierać i trochę puściły nerwy. Na Sanicy najlepsze były pedałki 16-20,







mikro włoszki i mikro antałówki oraz lokalne beżki i oliwki. Po południu również sucha mucha.

Trzeba było szybko o tym zapomnieć i powalczyć w kolejnych turach. Jedziemy na oddaloną o 70 kilometrów rzekę Janj. Tura też odbyła się z opóźnieniem, ale po interwencji kilku zawodników dano nam czas na przygotowanie i rozpoznanie stanowiska.

W tym sektorze najlepsze miejsca znajdowały się na początku sektora przy

moście, gdzie organizator „dorybił” rzekę wpuszczając pstrągi z przekonaniem, że rozejdą się po sektorze. Cztery pierwsze stanowiska łowiły po kilkanaście wpuszczaków i kolor streamera raczej nie miał dla nich znaczenia; na kolejnych trzeba było bronić się dzikimi pstrągami i nielicznymi lipieniami. Łowiąc streamerem



i nimfą kończę z czterema rybami na 11. miejscu, Andrzej z 5 na 10.

Wracamy do bazy bardzo późno – kolacja, odprawa i pierwsze wyniki. Marek Walczyk po wygraniu dwóch sektorów jest na drugim miejscu, podobnie jak pierwsza drużyna. Druga ekipa zajmuje ósme miejsce, a Staszek Guzdek indywidualnie również jest ósmy.

Kolejny dzień zmagania to tylko jedna poranna tura. Jedziemy na rzekę Sana. Losuję stanowisko, na którym Darek Kręciłowa złowił w II turze 15 ryb, a w I - Irlandczyk zero. Andrzej ma stanowisko, gdzie padły w pierwszy dzień 74 ryby (54 Czech i 20 Irlandczyk). Po trzech godzinach mam 16 ryb i 10. miejsce w sektorze, a Andrzej z 35 rybami wygrywa sektor. Na Sanie trzeba było szybko zlokalizować lipienie i łowić je na pedałkami na krótko: przyspieszając i odrywając muchę od dna raczej w płytkiej wodzie. Atak był dość zdecydowany, a ryb w przedziale 22-30 cm po ich zlokalizowaniu, można było w 10 minut złowić 6-8. Więcej czasu schodziło z biegiem do sędziego niż samym łowieniem.

Niezbyt dobre wieści dochodzą z jeziora, gdzie Darek i Zbigniew zaliczają zera, na Janj Piotr jest 2. a Artur 3. w sektorze. Sanica nie była łaskawa dla Staszka – 10. w sektorze. Marek trochę lepiej: 6. i utrzymuje swoje drugie miejsce w klasyfikacji generalnej, podobnie jak pierwsza drużyna.

Ostatni dzień zawodów zaczynam od jeziora, na którym wyniki Polaków były z tury na turę coraz gorsze. Losuję Irlandczyka, a Andrzej Szkota. Na treningu najlepsze były białe welonki, choć złowiłem 2 z 4 ryb na pomarańczową. Trzymam się wcześniejszych ustaleń, co do much i miejsca i kieruję łódkę do zatoki na wprost przystani. W czwartym rzucie zaliczam pierwszą rybę i robię miejsce Andrzejowi, bo miał szansę na dobre miejsce indywidualne i drużynowe. Spływamy na koniec sektora, gdzie Marek w pierwszej turze złowił ryby i tam pozostajemy do końca.

Doławiam jeszcze cztery pstrągi i, jak się później okazuje, był to najlepszy wynik w sektorze. Ryby stały dość blisko brzegu na ostrym spadzie. W turze łowiłem linką w 5 stopniu tonięcia, zestawem na żyłce 0,22 o długości około 5 m. Dwa pstrągi zaatakowały pomarańczowego streamera, dwa zielonego i tylko jeden wytrenowaną białą. Andrzej niestety nie miał tyle szczęścia i zaliczając zero pogrzebał swoje szanse na bardzo dobry wynik indywidualny.

Ostatnia tura rzuca mnie na Vrbas. Rzeka przypomina tor bobslejowy z piękną wyrzeźbioną w skale rynną o dość dużej głębokości i mocnym nurcie. Płyńcie w kanionie i jest to najlepsza rzeka w Bośni dla miłośników raftingu i kajakarstwa górskiego. Są tu nieliczne lipienie i dorybiona została większymi potokowcami.

W ostatni dzień woda podniosła się w porównaniu do poprzednich tur o około 70 cm, co praktycznie wykluczało brodzenie. Łowię trzy pstrągi, w tym jednego na 55 cm i kończę na 4. miejscu w sektorze. Najskuteczniejsze okazały się antałówki na 8 i 10 i „domki” podobnej wielkości oraz streamery białe i czarne z akcentami. Ostatni dzień zawodów był dla mnie najlepszy i pozwolił mi podnieść się w klasyfikacji o około 30 miejsc i zakończyć rywalizację na 24. pozycji.

Cały czas miałem w głowie słowa Staszka sprzed hotelowej windy, gdy wyjeżdżaliśmy na ostatnie dwie tury: „Panowie nie odpuszczamy, walczyliśmy do końca”. To właśnie Staszek Guzdek (POL II) wypadł najlepiej z Polaków (9 miejsce). Piotr Konieczny (POL II) zajął 11 miejsce, a Marek Walczyk (POL I), który przez cztery tury zajmował drugie miejsce w ostatniej turze przy mocno podniesionej wodzie niestety zeruje i kończy na 15 miejscu. Grzesiek Gołofit (POL I) jest 22., Andrzej Zasadzki (POL I) 27., Artur Trzaskoś (POL I) 36., Darek Kręciłowa (POL I) 52., Oskar Pankiewicz (POL II) 57. i wyjątkowo źle losujący Zbigniew Zasadzki (POL II) - 80. Pierwsza drużyna zakończyła na 6. miejscu, natomiast druga na 8.



Zwycięzcy zawodów - Włosi - całą swoją drużynę „wcisnęli” między 5. a 16. miejsce w klasyfikacji indywidualnej i wyprzedzili następnych Hiszpanów o 36 pkt. i Francuzów o 42. Indywidualnie zwyciężył przedstawiciel gospodarzy Željko Prpic, drugi był Francuz Yanick Riviere i trzeci Chorwat Miroslav Katicic.

Całe zawody od strony organizacyjnej oceniam na trójkę z plusem, bo gospodarze wg mnie nie przygotowali się zbyt dobrze do tak dużej imprezy. Wyglądało to jakby zawodnicy byli tłem dla bośniackich działaczy i to dla nich była ta impreza od otwarcia do zamknięcia.

Atmosfera w polskim sztabie była dobra, choć bywało nerwowo, ale i bardzo wesoło. Nasi krętacze Tosiek i Krzysiu dzielnie wysłuchiwali naszych zachcianek i o poranku każdy miał przygotowane swoje muchy. Klimat w innych drużynach też bardzo dobry - wszyscy uśmiechnięci i zadowoleni. Widać było, że dobrze się bawią i tworzą prawdziwe zgrane zespoły znające swoją wartość, choć często składały się z bardzo młodych zawodników. Dziękuję wszystkim osobom, które pomogły mi zrealizować marzenie o starciu w tak dużej imprezie międzynarodowej. Wyjazd i udział w Mistrzostwach Europy to niezapomniane wrażenia, wielkie doświadczenie i świetna lekcja - nie tylko wędkarstwa.







Reprezentacja Polski
na Mistrzostwach Europy w Bośni
Bosnia 2010



HEAVY METAL

GRAYLING

Hooked on
flyfishing

www.grayling.pl